



ERCKMANN-CHATRIAN



BITWA NARODÓW
HISTORIA REKRUTA

z 1813 roku

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

~~~~~  
TOM DRUGI  
~~~~~

BIESIADA LITERACKA

99882 / 1-2 kłoceli



15,-

342 560 9/242/2012 p

W drukarni Synów St. Niemiry, plac Wąsecki 4.

I

Rozpalono ogień na wzgórzu pod Gros-Gorschen; oddział jeden udał się do wsi i przyprowadził stamtąd pięć czy sześć starych krów do zabicia na żywność. Tak byliśmy znużeni, że wielu z pomiędzy nas więcej pragnęło spać niż jeść.

Inne pułki nadeszły z działami i amunicją. Około godziny jedenastej było nas dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, a we wsi dwa tysiące: cała dywizja Souhama. Jenerał i oficerowie ordynansowi stali w wielkim młynie, na lewo, przy strumieniu, zwanym Floss-Graben. Warty ciągnęły się dokoła wzgórza na wystrzał karabinu.

Ja także zasnąłem z wielkiego znużenia, ale co godzina budziłem się, wtedy zaś po za nami, od strony drogi, idącej od starego mostu Posurna i ciągnącej się aż do Lutzen i Lipska, słyszałem wielki hałas: turkot wozów, dział, jaszczyków wzmagał się i cichł kolejno wśród ciszy nocnej.

Sierżant Pinto nie spał: palił fajkę, susząc nogi przed ogniem. Skoro tylko który z nas poruszył się, on zapytywał go:

— No i cóż, rekrucie?

Ale udawali, że go nie słyszą, odwracali się ziewając i zasypiali na nowo.

Na zegarze Gros-Gorschen wybiła piąta, kiedy się obudziłem na dobre. Kości krzyżów i bioder miałem jakby połamane, zapewne od owego maszerowania po mule. Acz z trudnością, wspierając się rękoma o ziemię, podniosłem się i usiadłem, żeby się ogrzać, bo było mi bardzo zimno. Ogniska dymiły się jeszcze; pozostały w nich tylko popioły i trochę żaru. Sierżant, stojąc, patrzył na białą płaszczyznę, na którą słońce rzucało kilka smug złotych.

Wszyscy dokoła nas spali, jedni na grzbiecie, drudzy na ramieniu, z nogami zwróconymi do ognia; niektórzy chrapali, albo mówili przez sen głośno.

Sierżant, widząc, żem się obudził, wziął trochę żaru i położył go na fajkę swą, poczem rzekł do mnie:

— A co! strzelcze Berthe, jesteśmy zatem teraz już w tylnej straży?

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć.

— Dziwi cię to, rekrucie? — ciągnął dalej. — To dosyć jasne jednak. Myśmy nie ruszyli się z miejsca, to prawda, ale armia zrobiła pół obrotu; wczoraj była tam, przed nami, nad Rippachem; teraz jest za nami, przy Lutzen: zamiast na czele, jesteśmy z tyłu...

I z miną filuterną, mrugając oczami, puścił dwa czy trzy wielkie kłęby dymu z fajki.

— Cóż na tem wygrywamy? — zapytałem.

— Wygrywamy to, że pierwsi staniemy w Lipsku i rzucimy się na Prusaków—odparł.—Zrozumiesz to później, rekrucie.

Wyprostowałem się wówczas, chcąc się przypatrzyć okolicy i ujrzałem przed nami wielką, błotnistą płaszczyznę, którą przerzynały Gruna-Bach i Floss-Graben; kilka małych wzgórz wznosiło się nad temi wodami, a w głębi płynęła wielka rzeka, którą sierżant nazwał Elsterą. Mgły poranne zwieszały się po nad tem wszystkim.

Odwróciwszy się, ujrzałem za nami, w dolinie, szczyt dzwonicy Gross-Gorschen, a dalej, na prawo i lewo, pięć lub sześć wiosek pomiędzy wzgórzami, bo jest to kraina wzgórz. Wioski: Kaya, Eisdorf, Starsiedel, Rahna, Klein-Gorschen, które później poznałem, leżą między temi wzgórzami, nad brzegiem małych ruczajów, gdzie rosną topole, wierzby i osiczyna.

Gros-Gorschen, gdzie biwakowaliśmy, wysunięta była najbardziej naprzód, w równinę, od strony Elstery; najdalej leżała Kaya, za którą przechodził wielki trakt od Lutzen do Lipska.

Na wzgórzach paliły się ognie naszej tylko dywizji; ale cały 3-ci korpus stał w wioskach, a główna kawaleria była w Kaya.

Około godziny szóstej, bębny uderzyły pobudkę ranną; trąbki artylerzystów konnych i od zaprzę-

gów działowych ogłosiły również porę wstawania. Wysłano ludzi do wioski, jednych po drzewo, drugich po słomę lub siano. Przyszły wozy z amunicją i prowiantem, rozdano chleb i naboje. Mieliśmy zostać tu, ażeby armia mogła iść na Lipsk; dlatego sierżant Pinto mówił, że będziemy w tylnej straży.

Dwie markietanki przybyły także ze wsi, a że miałem jeszcze pięć sztuk po sześć franków, więc zaprosiłem Klipfela i Zébédégo na kieliszek. Ośmieliłem się także ofiarować kieliszek sierżantowi Pinto, który przyjął go, mówiąc:

— Wódka z chlebem rozgrzewa żołądek.

Byliśmy weseli i nikt ani się domyślał, jak straszne rzeczy miały się dziać tego dnia jeszcze. Sądono, że Rosyanie i Prusacy szukali nas daleko za Gruna-Barchem, ale oni wiedzieli, gdzie jesteśmy.

Około godziny dziesiątej, generał Souham, z grotem oficerów swoich, cwałem popędził nagle na wzgórze: śnać dowiedział się o czemś. Stałem właśnie wówczas na warcie przy kozłach; zdaje mi się, że widzę jeszcze generała — z jego siwą głową, wielkim kapeluszem, białym galonem oblamowanym — jak wjechał na szczyt wzgórza, wydobyl perspektywę i patrzył, a potem szybko zjechał i pogalopował do wioski, wołając, żeby uderzono na alarm.

Wszystkie warty zeszyły wówczas z miejsca, a Zébédé, który miał oczy krogulca, rzekł:

— Widzę tam koło Elstery, rojące się masy... widzę nawet, jak jedni posuwają się w dobrym porządku, a inni wychodzą z bagien trzema mostami.

Jeżeli to wszystko spadnie na nas, dopieroż będzie ulewa!

— To — odezwał się sierżant Pinto, podniósłszy głowę do góry i przyłożywszy rękę do czoła w kształcie daszka — to początek bitwy, albo nie znam się na tem. Podczas gdy armia nasza idzie na Lipsk, rozciągnięta na trzy mile z górą, Rosyanie i Prusacy chcą na nas uderzyć z boku wszystkimi siłami swemi i przeciąć nas na dwoje. To dobry pomysł z ich strony: codziennie uczą się jakiegoś postępu wojennego.

— Ale co my zrobimy teraz? — spytał Klipfel.

— Rzecz bardzo prosta — odparł sierżant: — jest nas tutaj dwanaście do piętnastu tysięcy ludzi, ze starym Souhamem, który nigdy się nie cofnął ani kroku. Będziemy murem stali, jeden przeciw sześciu lub siedmiu, dopóki cesarz nie dowie się o tem i nie przyśle nam pomocy. Patrzcie, oto już oficerowie ordynansowi pędzą.

Tak było w istocie: pięciu czy sześciu oficerów pędziło równiną Lutzen za nami w stronę Lipska. W myśli błagałem gorąco Boga, aby pozwolił im przybyć na czas i wysłać armię całą na pomoc nam; straszna to bowiem rzecz widzieć, że trzeba zginąć i największemu nieprzyjacielowi memu nie życzyłbym być w podobnem położeniu.

Sierżant Pinto powiedział nam jeszcze:

— Macie szczęście, rekruci. Jeżeli który z was wyjdzie z tego cało, to będzie się mógł pochwalić, że widział coś ciekawego. Popatrzcie tylko na te

linie niebieskie, posuwające się z karabinem na ramieniu wzdłuż Flors-Graben... Każda z tych linii jest pułkiem; jest ich trzydzieści: co wszystko razem wynosi sześćdziesiąt tysięcy Prusaków, nie licząc tych linii kawaleryi, które są szwadronami. A na lewo, przy Ripach, ci znowu, co idą i błyszczą na słońcu, są to dragoni i kirasyery cesarskiej gwardyi rosyjskiej; widziałem ich po raz pierwszy pod Austerlitz, gdzieśmy ich pięknie urządzili. Jest ich zapewne ośmnaście do dwudziestu tysięcy. Z tyłu, te masy tam, to są oddziały kozaków. Słowem za godzinę będziemy mieli przyjemność zajrzeć w oczy stu tysiącom ludzi, najbardziej upartych z pomiędzy Prusaków i Rosyan. Właściwie mówiąc, jest to bitwa, w której się zdobywa krzyż, a jeżeli się go nie zdobędzie teraz, to już chyba nigdy!

— Tak myślicie, sierżancie? — rzekł Zébédé, który nigdy się nie odznaczał bystrością umysłu i któremu zdawało się, że już trzyma krzyż w ręku. Oczy jego błyszczały jak u dziecka, któremu wszystko się przedstawia z pięknej strony.

— Tak — potwierdził sierżant — bo walka będzie zajadła. Przypuśćmy, że wśród boju ktoś spostrzeże działą, chorągiew, lub coś takiego, co bije w oczy; wówczas rzuca się, nie zwracając uwagi na bagnety, szable, wyciory lub cokolwiekbądź, zdobywa to, a jeżeli mu się uda wrócić, przedstawią go do nagrody.

Podczas kiedy tak mówił, przyszło mi na myśl, że mer Felsenburga otrzymał krzyż za to, iż miesz-

kańców wioski swej zawiózł na wozach, wieńcami ozdobionych, na spotkanie Maryi Ludwiki, śpiewając przytem stare *lieds* i przyszedłem do wniosku, że jego sposób zdobycia krzyża daleko był wygodniejszy od sposobu, jaki sierżant Pinto podawał.

Nie miałem czasu długo zastanawiać się nad tem, bo ze wszystkich stron bębnono pobudkę, każdy biegł do kozłów kompanii swojej i śpiesznie chwycił swój karabin lub pałasz.

Oficerowie szykowali żołnierzy do boju, działa przybywały ze wsi wielkim galopem; ustawiano je na wierzchołku wzgórza, trochę w tyle, ażeby grzbiet wzgórza mógł im służyć za szaniec. Jaszczyki nadciągały także.

A dalej, w wioskach Rahna, Kaya, Klein-Gorschen, wszystko było w ruchu; lecz na nas cały potop strony przeciwnej spaść miał przedewszystkiem.

Nieprzyjacieli zatrzymał się o dwa strzały armatnie i kawalerzyści jego setkami krążyli dokoła wzgórza, aby rozpoznać naszą pozycję i siły.

Widząc nad brzegiem Floss-Graben tłumy Prusaków, od których oba wybrzeża się czerniły i których pierwsze linie już zaczynały szykować się w kolumny, powiedziałem sobie:

— Tym razem, Józefie, wszystko stracone, wszystko skończone... niema ratunku... Pozostaje ci tylko bronić się i nie mieć żadnej litości... Broń się, broń się!...

Kiedy tak myślałem, generał Chemineau sam

jeden przejechał konno przed frontem bojowym, wołając:

— Formuj czworobok!

Wszyscy oficerowie, na prawo, na lewo, na przodzie, z tyłu, powtórzyli ten sam rozkaz.

Utworzono cztery czworoboki, po cztery bataliony w każdym.

Tym razem znalazłem się w jednym z boków wewnętrznych, co mi sprawiło przyjemność, bo byłem przekonany, że Prusacy, którzy posuwali się trzema kolumnami, uderzą najprzód na front.

Zaledwie wszakże myśl ta przesunęła mi się przez głowę, kiedy prawdziwy grad kul posypał się na czworobok. Jednocześnie, działa, które Prusacy przyprowadzili z sobą i ustawili na wzgórzu na lewo, poczęły grzmieć, ale nie tak już, jak pod Weissenfelsem: teraz nie milkły ani na chwilę! Mieli oni na tem wzgórzu ze trzydzieści dział wielkiego kalibru; można przeto wyobrazić sobie, jakie luki robili niemi. Kule gwizdały raz w powietrzu, drugi raz w szergach; czasami upadały na ziemię, którą ryły ze strasznym hukiem.

Nasze działa strzelały również i to tak, że głużyły niemal gwizd i ryk tamtych; ale to nic nie pomagało — tamte nie przestały wyrzucać kul ze swych paszczy; zresztą, najfatalniejsze wrażenie sprawiały na nas wyrazy, które oficerowie nieustannie powtarzali:

— Ściskajcie szeregi! Ściskajcie szeregi!

Byliśmy otoczeni gęstym i duszącym dymem, chociaż sami nie strzelaliśmy jeszcze. Myślałem sobie:

— Jeżeli postoiemy tak kwadrans, to wymordują nas wszystkich, a my nie będziemy mogli się bronić!

Wydawało mi się to okrucieństwem.

Nagle dwie pierwsze kolumny Prusaków wdarły się między dwa wzgórza i to z tak dziwnym szumem, jak gdyby pochodzącym od gwałtownego wylewu wód. W tejże chwili trzy pierwsze boki naszego czworoboku, frontowy i dwa inne, ukośnie biorąc na prawo i lewo, wystrzeliły razem...

Bóg wie, ilu Prusaków było w tym wąwozie! Ale zamiast zatrzymać się, posuwali się wciąż, krzycząc, jak wilki:

— *Faterland! Faterland!* *).

Strzelali przytem do nas ze wszystkiej swej broni o sto kroków, że się tak wyrażę — w sam brzuch.

Potem nastąpił bój na bagnety i na kolby; chcieli koniecznie nas złamać, więc nacierali z wściekłością.

Całe życie pamiętać będę, jak jeden batalion tych Prusaków dostał się wprost naprzeciw nas i zaatakował nas bagnetem, na co odpowiedzieliśmy ba-

*) Ojczyzna! Ojczyzna!

gnetem również, ale nie wychodząc z szeregów, i jak wszystkich ich zmiotły dwa działa, ustawione o pięćdziesiąt kroków za czworobokiem.

Żaden oddział nie chciał już potem wejść między nasze czworoboki.

Kiedy Prusacy schodzili ze wzgórza, myśmy nabijali karabiny, by wystrzelać ich co do nogi, aż tu armaty zaczęły grzmieć znowu, z prawej zaś strony usłyszeliśmy wielki hałas: była to kawaleria nieprzyjacielska, która nadjeżdżała, chcąc korzystać z luk, jakie ich działa robiły... Z tego ataku nie widziałem nic, bo odbył się on na drugim froncie dywizyi.

Tymczasem kule zmiatały nas tuzinami. Jenerałowi Chemineau strzaskano właśnie udo. Nie mogło tak trwać dłużej. To też wydano nam rozkaz cofnięcia się, cośmy uczynili z łatwością do zrozumienia przyjemnością.

Obeszliśmy dokoła Gross-Gorschen, ścigani przez Prusaków, którzy strzelali do nas, a my do nich. Dwa tysiące ludzi, stojących w wiosce, zatrzymało nieprzyjaciela gęstym ogniem ze wszystkich okien, podczas kiedy myśmy wchodzili na wzgórze, dążąc do drugiej wsi, Klein-Gorschen.

Ale wtedy cała kawaleria pruska przygalopowała z boku, chcąc nam przeciąć odwrót i zmusić, żebyśmy stali pod ogniem ich bateryj. Trudno sobie wyobrazić, jakie oburzenie uczułem wówczas. Słyszałem, jak Zébédé wołał:

— Uderzmy lepiej na nich, co mamy tak stać!

Było to także strasznie niebezpieczne, bo pułki te huzarów i strzelców szły w dobrym porządku, zanim się rozpędziły. Cofaliśmy się ciągle w tył, kiedy z wierzchołka wzgórza odezwała się komenda:

— Stój!

Jednocześnie straszny ogień kartaczowy posypał się na huzarów i okropne spustoszenie sprawił w ich szeregach.

Była to dywizya jenerała Gérarda, która przyszła nam na pomoc z Klein-Gorschen; ustawiła ona szesnaście bateryj trochę na prawo. Sprawilo to bardzo dobry skutek: huzary odjechali prędzej jeszcze, niż się zjawili i sześć czworoboków dywizyi Gérarda połączyło się z naszymi w Klein-Gorschen, w celu powstrzymania piechoty pruskiej, która wciąż się posuwała, mając trzy kolumny na przodzie i trzy również mocne w tyle.

Straciliśmy Gros-Gorschen, ale teraz, między Klein-Gorschen i Rahna, miała się odbyć utarczka jeszcze straszliwsza.

Co do mnie, myślałem już tylko o tem, żeby się zemścić. Można powiedzieć, że byłem wściekły z gniewu i oburzenia na tych, co chcieli mię pozbawić życia, tego dobra wszystkich ludzi, które każdy człowiek powinien chronić, jak może. Czułem rodzaj nienawiści do Prusaków, których krzyki i zuchwała mina wstrętem mnie przejmowały. Przyjemnie mi jednak bardzo było widzieć obok siebie Zébédého i ko-

rzystając z tego, iż w oczekiwaniu nowego ataku staliśmy z bronią u nogi, ścisnąłem go za rękę.

— Powiodło nam się — rzekł mi. — Byle tylko cesarz przybył prędko, bo jest ich dwadzieścia razy więcej, niż nas... Byleby przybył z działami!

Nie mówił już o zdobyciu krzyża.

Spojrzałem trochę na bok, chcąc się przekonać, czy sierżant Pinto był tam jeszcze i spostrzegłem go, jak spokojnie obcierał swój bagnet; twarz jego nie zmieniła się: to mię ucieszyło. Chciałbym też wiedzieć, czy Klipfel i Furst znajdowali się również w szeregach ale na komendę: „Broń na ramię!“ — myśl moja zwróciła się w inną stronę.

Trzy pierwsze kolumny nieprzyjacielskie zatrzymały się na wzgórzu Gros-Gorschen, oczekując na trzy następne, które zbliżały się z bronią na ramieniu.

Między nami leżąca wieś w dolinie paliła się, słomiane dachy buchały płomieniem, słupy dymu wznosiły się wysoko w górę; po drugiej stronie, na lewo, widzieliśmy, jak przez uprawne pola ciągnął długi szereg dział, zamierzający wziąć nas z ukosa.

Mogło być południe, kiedy sześć tych kolumn ruszyło z miejsca i kiedy po obu stronach Gros-Gorschen rozwinęły się szeregi huzarów i konnych strzelców. Nasza artyleria, umieszczona w tyle za czworobokami, rozpoczęła straszny ogień przeciwko kanonierom pruskim, którzy odpowiadali im na całej linii.

Nasze bębny zaczęły bić w czworobokach, oznajmiając zbliżenie się nieprzyjaciela; słyhać je było tyle, co brzęk muchy podczas burzy. A w głębi doliny Prusacy krzyczeli wszyscy razem:

— *Faterland! Faterland!*

Ich ogień batalionowy, pomykając po wzgórzach, okrywał nas dymem, ponieważ wiatr dął w naszą stronę, co przeszkadzało nam widzieć ich. Pomimo to rozpoczęliśmy ogień szeregowy.

Nie widzieliśmy się i nie słyszeli wzajem od kwadransa przynajmniej, gdy nagle huzary pruscy znaleźli się w czworoboku naszym. Nie wiem, jakim sposobem to się stało, dosyć, że byli w środku i rzucali się na prawo i lewo, pochylając się na małych konikach swoich i rąbiąc nas bez miłosierdzia. My kłuliśmy ich bagnietami, krzyczeliśmy, oni strzelali do nas, słowem — działo się coś okropnego. Zébéde, sierżant Pinto i dwudziestu jeszcze z kompanii trzymaliśmy się razem.

Całe życie pamiętać będą te blade twarze, wąsy, ciągnące się aż do uszów, małe kaszkiety, podpinką trzymające się pod szczękami, konie, które rżąc, wspinały się po nad stosy trupów i rannych. Będę zawsze słyssał te krzyki, które wydawaliśmy, jedni po niemiecku drudzy po francusku. Oni nazywali nas: „*Schweinpelz!*“, a stary sierżant Pinto nieustannie wołał:

— Śmiało, dzieci moje, śmiało!

Nigdy nie mogłem pojąć, jakim sposobem wydostaliśmy się stamtąd; szliśmy na los szczęścia wśród dymu, świstu kul i zgrzytu szabel. Pamiętam tylko, że Zébédé wołał na mnie co chwile:

— Chodź! chodź!

Pamiętam też, że nakoniec znaleźliśmy się z sierżantem Pinto i siedmiu czy ośmiu innymi z kompanii na polu, leżącym po za czworobokiem jednym, który trzymał się jeszcze.

Wyglądaliśmy, jak rzeźnicy!

— Nabijcie broń! — rzekł sierżant.

Wówczas, nabijając karabin, spostrzegłem krew i włosy na końcu mego bagnetu, co dowodziło, że uniesiony sządem, zadawałem straszne ciosy.

Po chwili Pinto rzekł znowu:

— Pułk rozbity... Te łotry Prusaki wycięli połowę jego... Odszukamy go potem... Na teraz trzeba wstrzymać nieprzyjaciela, żeby nie wszedł do wioski... Szeregiem na lewo — naprzód, marsz!

Zeszliśmy po małych schodach, prowadzących do jednego z ogrodów Klein-Gorschen i dostaliśmy się do domu, którego drzwi, wychodzące na pole, sierżant zabarykadował wielkim stołem kuchennym, potem, wskazując nam drzwi od ulicy, rzekł:

— Otóż masz odwrót!

Weszliśmy na pierwsze piętro, do dość wielkiego pokoju, który tworzył jakby narożnik u stóp wzgórza; dwa jego okna wychodziły na wieś, a dwa na wzgórze, całe pokryte dymem, gdzie wciąż jeszcze trzaskał szeregowy ogień i grzmiały działa.

W głębi, w alkowie, stało łóżko z rozrzuconą pościelą, a przed łóżkiem kolebka dziecinną. Ludzie umknęli stąd zapewne na początku bitwy; ale pies z wielkim ogonem białym, z uszami sterczącymi i śpiączastym pyskiem, patrzył na nas błyszczącymi oczyma: wszystko to przypomina mi się, jak sen.

Sierżant otworzył okno i strzelał już na ulicę, gdzie kilku huzarów pruskich posuwało się wśród mnóstwa wózków i kup nawozu. Zébédé i inni, stojąc za nim, trzymali broń w pogotowiu.

Ja patrzyłem na wzgórze, żeby widzieć, czy czworobok trzyma się jeszcze i o pięćset lub sześćset kroków spostrzegłem go, jak cofał się w dobrym porządku, strzelając z czterech swych boków do kawaleryi, która go opasywała. Po przez dym widziałem pułkownika, — gruby był a krótki, — jadącego w środku na koniu, z szablą w rękę, a tuż koło niego chorągiew tak poszarpaną, że podobna była raczej do łachmana, wiszącego na drzewcu.

Dalej na lewo, jedna kolumna nieprzyjacielska ukazała się na zakręcie drogi i szła na Klein-Gorschen. Ta kolumna zamierzała przeciąć nam odwrót do wioski; ale setki rozpierzchłych żołnierzy zbiegły się już w gromadę i zbiegały się wciąż jeszcze ze wszystkich stron, jedni odwracając się co pięćdziesiąt kroków i strzelając, drudzy ranni wlokąc się, by gdziekolwiek znaleźć przytułek. Wszyscy wchodzili do domów, a że kolumna posuwała się nieustannie, dano przeto gęstego ognia do niej ze wszyst-

kich okien. To ją powstrzymało, tembardziej, że w tej chwili, na wzgórzu na prawo, zaczynały rozwijać się dywizye Breniera i Marchanda które książe Moskwy wysyłał nam na pomoc.

Dowiedzieliśmy się potem, że marszałek Ney udał się za cesarzem w stronę Lipska, ale usłyszawszy huk dział, wrócił się.

Prusacy zatrzymali się w tem miejscu, ogień ustał z obu stron.

Nasze czworoboki i kolumny weszły na wzgórze naprzeciw Storsiedel i wszyscy wówczas śpiesznie wieś opuścili, aby połączyć się każdy z pułkiem swoim.

Nasz pułk połączył się z dwoma, czy trzema inemi i kiedy dywizye, stanąwszy przed Kaya, zatrzymały się z bronią u nogi, z trudnością mogliśmy się rozpoznać wzajemnie.

Po odbytym apelu kompanii naszej, pokazało się, że czterdziestu dwóch ludzi tylko pozostało. Wielkiego Fursta i Légera nie było między nimi; ale Zébédé, Klipfel i ja ocaliliśmy skórę naszą w tej potyczce.

Na nieszczęście, nie koniec był temu jeszcze, bo Prusacy, rozzuchwaleni naszym odwrotem, przygotowywali się do nowego natarcia na nas w Kaya; coraz nowe posiłki im przybywały. Widząc to, myślałem sobie, że jak na tak wielkiego wodza, cesarz miał bardzo nieszczęśliwą myśl, iż rozciągnął wojsko swoje aż do Lipska i że pozwolił, aby stotysięczna z górą armia nas zaskoczyła.

Podczas kiedy my na nowo szykowaliśmy się pod zasłoną dywizyi Breniera, ośmnaście tysięcy starożołnierza gwardyi pruskiej cwałem pędziło na wzgórze, niosąc na znak zwycięstwa swego kaszkiety poległych naszych na końcach swoich bagnatów.

Jednocześnie bój trwał na lewo, między Gros-Gorschen i Storsiedel. Masa kawaleryi rosyjskiej, którą widzieliśmy rano błyszczącą w słońcu za Grunna-Bache, chciała zająć nam tyły; ale 6-ty korpus pośpieszył zasłonić nas i pułki marynarskie murem stały tamże. Cała równina tworzyła jedną chmurę, w której błyszczały tysiącami kaszkiety, kirysy i lance.

Co do nas, cofaliśmy się wciąż, gdy nagle coś przeleciało przed nami, jak piorun.

Był to marszałek Ney.

Pędził w galopie, a za nim sztab jego.

Nigdy nie widziałem podobnej twarzy: oczy jego błyszczały, a policzki kurczyły się z wściekłości.

W jednej sekundzie obleciał całą linię i znalazł się na czele kolumn naszych. Wszyscy poszli za nim, jak gdyby porwani siłą nadludzką; zamiast cofać się, szliśmy na spotkanie Prusaków i w dziesięć minut potem wszystko stanęło w ogniu.

Ale nieprzyjaciel trzymał się mocno; sądził, że jest już panem placu i nie chciał wypuścić z rąk swych zwycięstwa tembardziej, że odbierał coraz nowe posiłki i że my, byliśmy już wycieńczeni godziną walką.

Tym razem batalion nasz znalazł się w drugiej linii, kule przechodziły górą; teraz dzwonienie kartaczy o bagnety straszliwie wstrząsało nerwami; był to rodzaj okropnej jakiejś muzyki...

Wśród krzyków komendy i strzelania, zaczęliśmy uchodzić znowu po stosach poległych. Pierwsze nasze dywizye wróciły do Klein-Gorschen. Tam walczone pierś o pierś. Na wielkiej ulicy wioski nie widać było nic, oprócz karabinów w powietrzu i generałów na koniu, ze szpadą w ręku, którzy walczyli, jak prości żołnierze.

Trwało to kilka minut. Mówiliśmy już w szeregach:

— Dobrze idzie, dobrze idzie!... Posuwamy się naprzód.

Ale nowe posiłki nadeszły Prusakom, po raz drugi musieliśmy cofnąć się i to tak prędko na nie-szczęście, że wielka liczba naszych pierzchła aż do Kaya.

Wioska ta, wznosząca się na wzgórzu, była ostatnią od strony drogi ku Lutzen. Tworzył ją długi sznur domów, oddzielonych jedne od drugich ogródkami, stajniami i pasiekami. Gdyby nieprzyjaciel wziął nas w Kaya, w takim razie armia zo-stałaby przecięta na dwoje.

Biegając, przypomniały mi się słowa pana Gulden:

— Jeżeli nieszczęściem sprzymierzeni zwyciężą, przyjdą wówczas do nas pomścić się za to wszystko, cośmy im wyrządzali przez lat dziesięć.

Sądziłem, że bitwa już przegrana, bo sam marszałek Ney cofał się w czworoboku, a żołnierze, by ująć z boju, unosili oficerów rannych na karabinach, jak na noszach.

Słowem rzeczy zły obrót brały.

Wszedłem do Kaya z prawej strony wioski, przesadzając płoty i przeskakując małe palisady, któremi mieszkańcy wioskowi oddzielają ogrody swoje.

Miałem właśnie skręcić około jednej szopy, kiedy, podniósłszy głowę, postrzegłem pięćdziesięciu może oficerów, stojących na szczycie wzgórza naprzeciw; dalej, za nimi, tłumy artylerji pędziły co koń wyskoczy po drodze lipskiej.

Zatrzymałem się i poznałem cesarza, który wyprzedzał trochę innych. Siedział na białym koniu, jak na fotelu. Widziałem go bardzo dobrze pod bladem niebem; stał nieruchomie i przez perspektywę patrzył w dół, na bitwę.

Widok ten tak mię ucieszył, że z całych sił zacząłem krzyżeć:

— *Niech żyje cesarz!*

Potem, zaułkiem między dwoma staremi domami, dostałem się na wielką ulicę Kaya.

Byłem tu jednym z pierwszych i widziałem jeszcze, jak mieszkańcy wioski, mężczyźni, kobiety, dzieci, śpiesznie kryli się do piwnic.

Kilka osób, którym opowiadałem to, miało mi za złe, że biegł tak szybko; ale odpowiadałem im,

że jeżeli Michał Ney mógł się cofać, to Józef Berthe mógł także to uczynić.

Klipfel, Zébédé, sierżant Pinto i wszyscy ci, których znałem w kompanii, pozostali jeszcze na placu boju; tak straszny hałas dochodził mię stamtąd, że niepodobna wyobrazić tego sobie. Kłęby dymu przewalały się przez dachy, dachówki staczały się i padały na ulicę, kule wbijały się w ściany, trzaśkały belki z okropnym łoskotem.

Jednocześnie ze wszystkich stron, uliczkami, po przez płoty, palisady ogrodów, nasi żołnierze wchodzili do wsi, wciąż odwracając się i strzelając jeszcze. Należeli oni do rozmaitych pułków, bez kaskietów, obdarci, pokryci krwią, z miną rozwściekloną, jak sobie teraz przypominam po tylu latach. Były to wszystko dzieci, prawdziwe dzieci: na piętnastu lub dwudziestu, ani jeden nie miał wąsów; ale odwaga wrodzona jest rasie francuskiej!

Kiedy Prusacy, których prowadzili starzy oficerowie wołając:—*Forwärts! Forwärts!* *)—wdzierali się do wioski, wążąc sobie niejako na grzbiety, jak banda wilków, aby dostać się prędzej, — my, w rogu stodoły, we dwudziestu, czy trzydziestu, naprzeciw ogrodu, gdzie była pasieka i wielkie wiśniowe drzewa osypane kwiatem, jak dziś pamiętam, rozpoczęliśmy gęstym ogniem prażyć tych hultajów,

*) Naprzód! Naprzód!

k którzy chcieli wdrzeć się na mały mur, poniżej stojący i zdobyć wioskę.

Ilu z pomiędzy nich, dostawszy się na ten mur, stoczyło się z niego napowrót, tego nie wiem; ale wciąż nowi przybywali na ich miejsce.

Kule świstały koło naszych uszów i płaszczyły się o kamienie, tynk opadał, słoma zwieszała się z belek, wielka brama na lewo cała była podziurawiona; a my, za stodołą, wciąż nabijaliśmy i wciąż strzelaliśmy w kupę. Trwało to tyle tylko czasu, ile trzeba było, by wziąć na cel i pocisnąć cyngiel; pomimo to pięciu lub sześciu już naszych padło w pobliżu stodoły na siano, z twarzą do ziemi. My jednak tak byliśmy rozwścieczeni, że nie zwracaliśmy już na to uwagi.

Kiedy odwróciłem się po raz dziesiąty i przykładając karabin do ramienia, ten wysunął mi się z rąk; nachyliłem się, aby go podnieść i upadłem na niego: miałem kulę w lewej łopatce; krew ściekała mi na piersi, jakby woda ciepła.

Usiłowałem podnieść się, ale tyle tylko dokażalem, że usiadłem koło ściany. Wtenczas krew spływać zaczęła aż do uda i gdy przyszło mi na myśl, że mogę tu umrzeć, aż mi się zimno zrobiło.

Koledzy strzelali dalej po nad głową moją, a Prusacy odpowiadali im wciąż.

Myśląc o tem, że druga kula mogła mnie dobić i pragnąc usunąć się stamtąd, uczepiłem się lewą ręką o wierzch muru i zsunąłem się do małego rowu, którym woda z ulicy spływała do ogrodu.

Lewe ramię moje ciężkie było, jak ołów, w głowie mi się kręciło; wciąż jeszcze słyszałem strzelanie, ale jak we śnie. Trwało to czas jakiś zapewne.

Kiedy otworzyłem znów oczy, noc zapadała.

Prusacy defilowali uliczką. Napelnili już wioskę. W ogrodzie naprzeciw, na wielkim karym koniu, stał stary generał, z głową odkrytą i siwymi włosami. Krzyczał, żeby przyprowadzono działa i oficerowie cwałem odjeżdżali, niosąc jego rozkazy.

Przy nim, stojąc na małym murze, gdzie leżało mnóstwo poległych, jeden z chirurgów bandażował mu rękę. Z tyłu, z drugiej strony, stał również na koniu oficer rosyjski, bardzo szczupły młody człowiek, w kapeluszu, ozdobionym zielonemi piórami, spadającymi w kształcie bukietu.

Objąłem to wszystko jednym rzutem oka ten stary, z grubym nosem, czołem płaskim i szerokim, żywymi oczkami i śmiałą miną; tamci dokoła niego, chirurg mały człowieczek, łysy, w okularach; a w głębi doliny o pięćset lub sześćset kroków, między dwoma domami, nasi żołnierze, szykujący się na nowo—wszystko to mam przed oczami, jak gdybym tam był jeszcze.

Nie strzelano już; ale z między Klein-Gorschen i Kaya, straszne dochodziły krzyki... Słychać było ciężki huk, rzenie koni, przekleństwa i klaskania batem.

Sam nie wiedząc dlaczego, wywlokłem się z rowu i wróciłem do muru; w tej chwili dwa działa szesnastofuntowe, każde zaprzężone sześciu końmi,

ukazały się około pierwszego domu wioski. Artylerzyści bili konie ze wszystkich sił, koła wchodziły między stosy umarłych, jak między słomę; kości trzeszczały!...

Stąd to pochodziły owe krzyki, które słyszałem... Włosy powstały mi na głowie.

— Tutaj!...—wołał stary generał po niemiecku.—Ustawcie tam, między dwoma domami, przy wodotrysku!

Obie armaty zostały natychmiast ustawione; wozy z prochem i kartaczami cwałem przyleciały.

Stary generał udał się tam dla obejrzenia.

Miał lewą rękę na temblaku i jadąc uliczką, mówił do młodego rosyjskiego oficera tonem związłym:

— Powiedz cesarzowi Aleksandrowi, że jestem w Kaya... Bitwa wygrana, jeżeli przyśle mi posiłki. Niech nie rozprawiają, ale działają! Musimy być przygotowani na szalony atak. Napoleon przybywa, czuję to... Za pół godziny będziemy go mieli na karku z gwardyą jego. Bądźcobądź, dotrzymam placu... Na miłość Boską, niech nie tracą ani chwili, a zwycięstwo będzie nasze!

Młody oficer galopem odjechał w stronę Klein-Gorschen, a w tejże chwili ktoś przemówił do mnie:

— Ten stary, to Blücher... Ach łajdaku, że bym miał mój karabin!

Odwróciwszy głowę, ujrzałem starego sierżanta, suchego i chudego, z głębokimi zmarszczkami na policzkach. Siedział on przy drzwiach stodoły,

obiema rękami, jak szczudłami, wspierając się o ziemię, bo miał krzyże strzaskane kulą. Zamglonemi już nieco oczyma wodził za jenerałem, nos jego haczykowany zaginał się, jak dziób, nad wielkimi wąsami: miał minę groźną i dumną zarazem.

— Gdybym miał mój karabin — powtórzył raz jeszcze — zobaczyłbyś ty, czy bitwa wygrana!

W kącie tym, zawałonym umarłymi, myśmy tylko dwaj żyli.

Ja, myśląc o tem, że jutro może pochowają mnie wraz z innymi w ogrodzie naprzeciw i że nie ujrzę już Katarzyny, płakałem, a łzy spływały mi po twarzy i nie mogłem wstrzymać się od szeptu:

— Teraz wszystko skończone!

Sierżant spojrział wówczas na mnie z ukosa i widząc, że tak młody jeszcze, spytał:

— Co ci jest, rekrucie?

— Mam kulę w łopatce, sierżancie.

— W łopatce? To lepiej niż w krzyżach; można się z tego wyleczyć.

I popatrzwszy na mnie, dodał głosem mniej szorstkim:

— Nie bój się, nic ci nie będzie wrócisz do zdrowia.

Zrozumiałem, że litował się nad młodością moją i że chciał mnie pocieszyć; ale miałem pierś, jak gdyby strzaskaną i to mnie strasznie przygnębiało.

Sierżant nic więcej nie rzekł, tylko od czasu do czasu próbował podnieść głowę, by zobaczyć, czy

kolumny nasze przybywały. Kłął przez zęby, wreszcie osunął się na róg drzwi, mrużąc:

— Już po mnie!... Ale ten wielki łajdak zapłacił mi za to...

Spojrzał naprzeciw, gdzie pod płotem leżał wyciągnięty na grzbiecie grenadyer pruski, z bagnietem, tkwiącym jeszcze w brzuchu.

Mogła być wówczas szósta godzina. Nieprzyjaciel zajmował wszystkie domy, ogrody, sady, wielką ulicę i boczne uliczki. Czułem zimno w całym ciele. Pochyliwszy głowę na kolana, siedziałem zdrętwiały, kiedy huk dział ocucił mię znowu.

Dwa działa w ogrodzie i kilka innych, ustawionych wyżej wśród wsi, strzelały, rzucając błyskawice na wielką drogę, którą tłoczyli się Rosyanie i Prusacy. Ze wszystkich okien strzelano także. Ale wszystko to było niczem w porównaniu z ogniem, jakim Francuzi prażyli ze wzgórza naprzeciw.

Niżej, pod osłoną tego ognia, młoda gwardya posuwała się w ścieśnionych kolumnach, krokiem bojowym; pułkownicy, komendanci i jenerałowie na koniach wśród bagnietów, z szablą w ręku: wszystko to szare, oświecane tylko co minutę błyskiem z ośmdziesięciu dział, które cesarz kazał ustawić w jedną baterję dla poparcia ruchu.

Te ośmdziesiąt dział sprawiały huk straszliwy i pomimo odległości, stary domek, o który byłem oparty, trząsł się aż do fundamentów. Na ulicy kule zmiatały szeregi Prusaków i Rosyan, jak kosa zmia-

ta siano: przyszła teraz na nich kolej ściskania szeregów.

Słyszałem także, jak z tyłu nieprzyjacielska artylerya odpowiadała i myślałem:

— Mój Boże! mój Boże! żebyż tylko Francuzi zwyciężyli... Pozabierają wówczas przynajmniej rannych swoich, w przeciwnym razie Prusacy i kozacy pomyślą naprzód o swoich, a my zginiemy marnie...

Nie zwracałem już uwagi na sierżanta, patrzyłem tylko na kanonierów pruskich, jak nabijali działa, brali na cel i strzelali; przeklinałem ich z całego serca. Natomiast z zachwytem słuchałem okrzyków: — Niech żyje cesarz! — które zaczynały dochodzić z doliny i które w przerwach pomiędzy strzałami słyhać było coraz wyraźniej.

We dwadzieścia minut potem, Prusacy i Rosyane zaczęły cofać się; tłumnie przebiegali uliczkę, na której myśmy się znajdowali i rzucali się na pochyłość; okrzyki — Niech żyje cesarz! — zbliżały się.

Przed nami kanonierowie uwijali się, jak opętani; naraz trzy czy cztery kule wpadły pomiędzy nich, strzaskały koło armaty, a ich zasypały ziemią. Działo przewróciło się na bok; dwaj artylerzyści zabici, dwaj ranni.

Uczułem w tej chwili, że ręka jakaś ujęła mnie za ramię; odwróciłem się i ujrzałem starego sierżanta, nawpół umarłego, który patrząc na mnie, śmiał się dziko. Dach naszej chałupy zawalił się,

mur pochylił, ale my nie zwracaliśmy na to uwagi; widzieliśmy tylko porażkę nieprzyjaciela i wśród całego tego piekła, słyszeliśmy tylko coraz bliżej okrzyki zwycięskie żołnierzy naszych.

Nagle sierżant, bladej jak śmierć, rzekł:

— Oto on!

I pochyliwszy się naprzód na kolanach, jedną ręką opierając się o ziemię, a drugą podniósłszy w górę, zawołał donośnie:

— Niech żyje cesarz!

Potem upadł twarzą na ziemię i nie poruszył się więcej.

Ja także pochyliłem na naprzód, i ujrzałem Napoleona, posuwającego się konno wśród gradu kul i kartaczy. Kapelusz miał mocno naciśnięty na wielką głowę, szary surdut otwarty, szeroką, czerwoną wstęgę wpoprzek na białej kamizelce; był spokojny, zimny, jak gdyby oświecony blaskiem, bijącym od bagnatów. Wszystko cofało się przed nim; kanonierzy pruscy opuszczali działa swoje i przeskaکیwali mur ogrodu, pomimo nawoływań oficerów, usiłujących ich zatrzymać.

Wszystko to jak gdyby ognistymi głoskami wyryło mi się w pamięci; ale od tej chwili nie pamiętam już nic z bitwy, bo w nadziei zwycięstwa naszego, straciłem przytomność i jak umarły leżałem wśród tych wszystkich umarłych.

II.

Zbudziłem się wśród ciszy nocnej.

Chmury przesuwają się po niebie, a księżyc patrzył na wieś opuszczoną, na przewrócone działa i stosy poległych, jak patrzy od początku świata na wodę, co płynie, na trawę, co rośnie i liście, które opadają w jesieni.

Ludzie niczem są w obec rzeczy wiecznych; ci, którzy mają umierać, rozumieją to lepiej, niż inni.

Nie mogłem już ruszać się i cierpiałem mocno; prawą tylko ręką mogłem jeszcze władać. Jednak udało mi się podnieść na łokciu i ujrzałem stosy umarłych, ciągnące się aż w głąb uliczki. Światło księżycy padało na nich; biali byli, jak śnieg: jedni mieli oczy i usta otwarte; inni leżeli twarzą do ziemi, z ładownicą i tornistrem na plecach, z ręką zaciśniętą na karabinie. Widziałem to wszystko i zęby mi dzwoniły ze strachu.

Począłem wołać o pomoc, lecz głos mój, brzmiał tak słabo, jak kwilenie małego dziecka; w rozpa-

czy osunąłem się na ziemię. Ale słaby mój jęk, który wydałem wśród ciszy nocnej, wywołał inne; ze wszystkich stron, jeden za drugim zaczęły się one odzywać: wszyscy ranni sądzą, że to pomoc przybywa i ci, którzy mieli jeszcze na tyle siły, wołali o nią.

Krzyki te trwały przez czas jakiś, potem wszystko ucichło i słyszałem już tylko konia, który niedaleko mnie, za płotem sapał ciężko. Chciał powstać; widziałem, jak głowa jego podnosiła się na długiej szyi, potem znowu opadała.

Wskutek wysilenia, jakie zrobiłem, rana otworzyła mi się na nowo i czułem, że krew spływa mi pod ramię. Zamknąłem wówczas oczy, oczekując śmierci. Wszystkie dalekie wspomnienia, od czasu dzieciństwa mego, — wspomnienia z wioski, kiedy biedna moja matka trzymała mię na rękach i śpiewała usypiając mnie, mały pokój, stara alkowa, pies nasz Pommer, który bawił się ze mną i przewracał mnie na ziemi, ojciec, który wieczorem wracał wesół, z toporem na ramieniu i brał mnie w wielkie swe ręce całując, — wszystko to żywo stanęło mi przed oczyma!

Myślałem sobie:

— Ach! biedna kobieto... biedny ojczu!... gdybyście wiedzieli, że syna swego wychowujecie z taką miłością i takim trudem dlatego, by kiedyś zginął nędznie, opuszczony, bez żadnej pomocy... jakże rozpaczalibyście, jak przeklinali tych, którzy przyprowadzili go do tego stanu!... Ach! gdybyście tu byli!...

Gdybym mógł przynajmniej prosić was o przebaczenie za te wszystkie troski, jakich byłem przyczyną!

Kiedym myślał o tem, łzy oblewały mi twarz i pierś mi się podnosiła: długo płakałem cicho.

Myśl o Katarzynie, o ciotce, o dobrym panu Gulden, przyszła mi także wkrótce i było to coś okropnego! Widziałem ich wyraźnie, z całą dokładnością. Widziałem ich zdziwienie i obawę, kiedy dowiedzieli się o wielkiej bitwie; widziałem ciotkę Grédel, jak biegła drogą, ażeby się dowiedzieć, czy niema ode mnie listu na pocztę, podczas gdy Katarzyna czekała na nią, modląc się; pan Gulden, sam w swoim pokoju, wyczytał w gazecie, że 3-ci korpus większy brał udział w boju niż inne; przechadzał się potem z głową pochyloną i późno bardzo zasiadał do warstata, z twarzą zamyśloną. Dusza moja była tam z nimi; oczekiwała ona niejako przed pocztą, wraz z ciotką Grédel, wracała przygnębiona do wsi, widziała Katarzynę zasmuconą...

Potem, pewnego rana, listonosz Roedig zjawiał się w Quatre-Vents, w bluzie swej i z małą swą skórzaną torbą; otwierał drzwi izby i podawał wielki papier ciotce Grédel; ta z największem wzruszeniem patrzyła na niego, a Katarzyna, blada, jak śmierć, stała za nią: była to wiadomość o mojej śmierci! Słyszałem rozzwierający krzyk Katarzyny, padającej na ziemię i przekleństwa ciotki Grédel z rozrzuceniami, siwymi włosami. Krzyczała, że dla uczciwych ludzi lepiej byłoby nigdy się nie rodzić, kiedy Bóg ich tak opuszcza! Dobry ojciec Gulden

zjawiał się ze słowami pociechy, ale zaledwie wszedł, zaczynał płakać wraz z niemi i wszyscy łkali w niewysłowionym smutku, wołając:

— O biedny Józefie! Biedny Józefie!

To mi rozzdzierało serce.

Przyszło mi także na myśl, że trzydzieści lub czterdzieści tysięcy rodzin we Francji, w Rosji, w Niemczech odbiorą podobną wiadomość i straszniejszą jeszcze nawet, bo wielka liczba nieszczęśliwych, poległych na placu bitwy, miała rodziców swoich jeszcze; przedstawiałem to sobie jako okropność, jako wielki krzyk rodu ludzkiego, podnoszący się do nieba.

Wtedy przypominałem sobie owe kobiety w Phalsburgu, które modliły się w kościele, podczas owego odwrotu z Rosji i zrozumiałem, co się dziać musiało w ich sercu!... Mówiłem sobie, że Katarzyna wkrótce też tam pójdzie; że lata całe modlić się będzie, myśląc o mnie... Mówiłem tak sobie, bo przecież kochaliśmy się od dzieciństwa, byłem więc przekonany, że ona nigdy nie będzie mogła zapomnieć o mnie. Tak byłem rozrzewniony, że łzy spływały mi po policzkach; a jednak sprawiało mi to ulgę, że tak jej ufałem, że byłem pewny, iż miłość swą dla mnie zachowa aż do starości, że zawsze będzie mnie miała przed oczami swemi i że innemu serca nie odda.

Nad ranem rosa zaczęła padać.

Szmer monotony na dachach, w ogrodzie i uliczce przerwał ciszę. Myślałem o Bogu, który

od początku wieków tworzy te same rzeczy i którego potęga nie ma granic; który przebacza winy, bo jest dobrym i miałem nadzieję, że mnie przebaczy również, przez wzgląd na cierpienia moje.

Ponieważ rosa padała obficie, wkrótce napełniła mały rynsztok. Od czasu do czasu słychać było, jak się walił mur jakiś w wiosce, lub jak dach się zapadał; zwierzęta, przestraszone bitwą, powoli uspakajały się i wychodziły o brzasku dnia: koza beczała w sąsiedniej oborze; wielki pies owczarski, ze zwieszonym ogonem, przeszedł, patrząc na umarłych; ujrawszy go, koń zaczął straszliwie dyszeć, biorąc go zapewne za wilka i pies uciekł.

Wszystkie te szczegóły przypominają mi się, bo w chwili śmierci, człowiek widzi wszystko i wszystko słyszy.

Coś mówi do niego:

— Patrz... słuchaj... bo wkrótce nic już nie będziesz widział ani słyszał na świecie!

Ale co mi daleko głębiej wyryło się w pamięci, czego nigdy nie będę mógł zapomnieć, chociażbym żył sto lat, to uczucie, jakiegom doznał, kiedy zdało mi się, żem usłyszał głosy ludzkie. Och! jakże się szybko ocuciłem... z jakim natężeniem słuchałem... z jakim wysiłkiem podniosłem się na ramieniu, by zawołać:

— Na pomoc!

Noc jeszcze była, ale już blade smugi ranka ukazywały się na niebie; daleko, wśród deszczu,

który przerzynał powietrze, światełko jakieś migotało na polach, błąkało się, zatrzymując się tu i owdzie...

Po chwili spostrzegłem czarne postacie, pochylające się ku ziemi; były to tylko niepewne cienie, ale inni snąć także spostrzegli je i owe światło, bo ze wszystkich stron, w ciemności, podniosły się westchnienia, odezwały się żałosne wołania, głosy tak słabe, jak małych dzieci, które wzywają matki!

Mój Boże, czemuż jest życie? Z czegoż się ono składa, że tak wielką cenę przywiązujemy do niego? To nędzne tchnienie, które kosztuje nas tyle łez, tyle cierpień, dlaczegoż więcej niż wszystko w świecie obawiamy się stracić? Cóż nas czeka potem, kiedy na samą myśl śmierci wszystko w nas drży?

Któż to wie?

Wszyscy ludzie mówią o tem od wieków i od wieków wszyscy myślą o tem, a nikt nie umie rozwiązać tej zagadki.

Gorąco pragnąc życia, patrzyłem na światełko, jak nieszczęśliwy tonący patrzy na brzeg... Czyniłem możliwe usiłowania, by je widzieć i serce moje drżało nadzieją.

Chciałem krzyczeć, lecz głos mój nie sięgał dalej, jak do ust; szmer deszczu między drzewami i na dachach głużył wszystko, pomimo to jednak, mówiłem sobie:

— Słyszają mnie... przychodzą!...

Zdawało mi się, że widzę, jak latarnia posuwa się dróżką ogrodu i jak światło jej zwiększa się wciąż; ale pobłąkawszy się czas jakiś po polu bitwy, powoli weszło w parów i znikło...

Wówczas upadłem bez przytomności.

III.

Kiedym przyszedł do siebie, ujrzałem się w głębi wielkiej szopy, niby w sali, — ze słupami dokoła; ktoś mi podawał do picia wodę z winem, co wydawało mi się bardzo dobrem. Otworzywszy oczy, zobaczyłem starego żołnierza z siwymi wąsami, który podnosił mi głowę i trzymał kubek przy ustach.

— No jakże — odezwał się do mnie tonem rubasznym — no jakże, lepiej ci?

Uśmiechnąłem się do niego na samą myśl, że żyję jeszcze.

Pierś i lewą łopatkę miałem silnie obandażowane; czułem ból, jak od oparzenia, ale to mi było wszystko jedno: — żyłem!

Zacząłem najprzód przypatrywać się grubym belkom, które krzyżowały się w górze i dachówkom, z pomiędzy których w wielu miejscach przedzierało się światło; potem odwróciłem głowę i poznałem, że znajduję się w jednej z owych wielkich szop,

gdzie piwowarzy tej okolicy trzymają beczki i wozy swoje.

Dokoła szopy, na materacach lub słomie, leżało mnóstwo rannych, a na środku, na wielkim kuchennym stole, chirurg pułkowy i dwaj jego pomocnicy, z zagiętymi rękawami koszuli, odejmowali komuś nogę. Operowany jęczał strasznie. Za nimi leżał stos ramion i nóg, i można sobie wyobrazić, jakie myśli przychodziły mi do głowy, gdy patrzyłem na to.

Pięciu czy sześciu żołnierzy podawało pić rannym; mieli oni w rękach dzbany i kubki.

Największe jednak wrażenie wywierał na mnie ów chirurg w koszuli, który krajał rannych, nie zważając na nic; miał wielki nos, zapadłe policzki i wciąż burczał pomocników swoich, którzy niedość szybko podawali mu noże, szczypce, szarpie, bieliznę, albo niedość sprawnie zbierali krew gąbką. Niezłe to jednak szło, bo w niespełna kwadrans odjęli dwie nogi.

Na dworze, koło słupów, stał wielki wóz, napełniony słomą.

Położono właśnie na stole karabiniera rosyjskiego, mającego przynajmniej sześć stóp wzrostu; kula przebiła mu szyję koło ucha. Chirurg wołał o noże, chcąc go zoperować, gdy drugi chirurg ukazał się przed szopą. Był to chirurg kawaleryi, gruby, krótki i cały ospowaty; miał tekę pod pachą i przechodząc, zatrzymał się koło wozu.

— A, Forel! — zawołał wesóło.

— To ty, Duchêne? — rzekł nasz lekarz, odwracając się. — Ilu masz rannych?

— Siedmnaście do osmnastu tysięcy.

— Do dyabła! No, a jakże idzie dzisiaj?

— Niezłe; upatruję właśnie szynkowni.

Chirurg nasz wyszedł z szopy, aby przywitać kolegę; zaczęli rozmawiać z sobą spokojnie, podczas gdy pomocnicy pokrępiali się winem, a Rosyanin rozpaczliwie przewracał oczami.

— Patrz, Duchêne, idź tylko tą ulicą... naprzeciw tej studni... widzisz?

— Doskonale.

— Tam znajdziesz szynkownię.

— A, dobrze... dziękuję ci, uciekam!

Tamten poszedł, a nasz wołał za nim:

— Dobrego apetytu, Duchêne!

Potem wrócił do swego Rosyanina, który czekał na niego i zaczął od tego, że rozerznął mu szyję aż do ramienia. Pracował z kwaśną miną, wciąż fukając na pomocników:

— No, panowie, no! Żwawo, do pioruna!

Rosyanin jęczał przeraźliwie, ale on nie zważał na to; wreszcie wyjął kulę z jego rany i rzuciwszy na ziemię, nałożył mu bandaż, poczem rzekł:

— Zabierzcie!

Zdjęto Rosyanina ze stołu; żołnierze położyli go na jednym z sienników, których długie szeregi przygotowano, a na stół operacyjny przynieśli innego rannego.

Nigdy nie przypuszczał, żeby coś podobnego mogło się dziać na świecie; ale widziałem wiele innych jeszcze rzeczy, których wspomnienie pozostanie mi na długo w pamięci.

O pięć lub sześć sieników od mego, siedział stary kapral z nogą obandażowaną; mrugał oczami i mówił do sąsiada swego, któremu właśnie ucieli rękę:

— Rekrucie, popatrzno na ten stos; jestem pewien, że nie poznasz ręki swojej.

Tamten, blady okropnie, chociaż przy operacji okazał największą odwagę, spojrzął i prawie natychmiast stracił przytomność.

Na to kapral zaczął śmiać się i rzekł:

— Poznał ją nareszcie... To ta, na dole, z niebieskim kwiatkiem. Zawsze to sprawia taki sam skutek.

Sam siebie podziwiał, że zrobił takie odkrycie, ale nikt nie śmiał się z nim razem.

Co chwilę ranni wołali:

— Pić!

Kiedy jeden zawołał, wszyscy szli za jego przykładem. Zjednałem sobie zapewne przychylność starego żołnierza, bo przechodząc, zawsze podawał mi kubek.

Byłem tam niewiele, jak godzinę.

Z dziesiątek wozów, o szerokiej drabinie, stanęło w szeregu za pierwszym. Okoliczni chłopci, w kaftanach aksamitnych i wielkich pilśniowych

kapeluszach czarnych, z batem na ramieniu, oczekiwali poleceń, trzymając konie za uzdy. Wkrótce zjawiała się pikietta huzarów, wachmistrz zsiadł z konia i wchodząc do szopy, rzekł:

— Za pozwoleniem, panie majorze, oto rozkaz eskortowania dwunastu wozów z rannymi do Lutzen. Czy tutaj mają ich zabierać?

— Tak, tutaj — odpowiedział chirurg.

Zaraz też zaczęto ładować pierwszy wóz.

Chłopi i ludzie ambulansowi napoili nas raz jeszcze, zanim przenieśli nas na wozy.

Skoro jeden wóz napełniono, posuwano go na przód i następny podjeżdżał.

Ja byłem na trzecim, a siedziałem w pierwszym rzędzie na słomie, obok rekruta z 27-go pułku; nie miał on już prawej ręki. Z tyłu był drugi, któremu brakowało nogi; ten miał ranę w głowie, tamten szczękę strzaskaną i tak dalej.

Oddano nam długie płaszcze nasze, a ponieważ było bardzo zimno, okryto nas nimi tak szczelnie, że widać było tylko nos, czapkę wojskową, albo bandaż powyżej kołnierza.

Wszyscy milczeli; każdy miał o czem myśleć.

Chwilami czułem straszliwe zimno, chwilami znów zdawało mi się, że płonę.

Był to początek gorączki.

Kiedyśmy wyjeżdżali z Kaya, wszystko jeszcze było dobrze, wszystko dobrze widziałem i rozumia-

łem, byłem zupełnie przytomny; dopiero zbliżając się do Lipska, uczułem się bardzo źle.

Nakoniec wozy ruszyły w takim porządku: ci, co trzymali się jako tako, siedli na pierwsze wozy; gorączkujący zaś i bardzo osłabieni jechali na ostatnich. Huzarzy, konno jadąc koło nas, rozmawiali o bitwie, palili fajki i śmieli się, nie patrząc na nas nawet.

Kiedyśmy przejeżdżali Kaya, przypatrzyłem się wszystkim okropnościom wojny. Wieś zmieniła się w kupę gruzów. Dachy się pozawały; gdzieniegdzie tylko sterczały resztki murów; belki i łąty połamane; z pomiędzy nich przeglądały małe pokoiki z alkowami, drzwiami i schodami. Biedni ludzie, kobiety, dzieci, starcy, błakali się wśród tych ruin z rozpaczą; wchodzili i wychodzili z nich, łamiąc ręce i zalewając się łzami.

Niekiedy w zburzonym domu spostrzegałem kominiek w małym pokoju, małe lustereko i gałązki bukszpanu, a przedmioty te wskazywały, że było to mieszkanie młodej dziewczyny, zapewne pięknej i szczęśliwej. Któż mógł przewidzieć niedawno jeszcze, że całe jej szczęście zostanie zniszczonem nie przez wściekłe burze lub gniew niebios, ale przez szal ludzi, stokroć straszniejszy od tego wszystkiego!

Biedne zwierzęta nawet wyglądały, jak gdyby osierocone pośród tych ruin. Gołębie szukały gołębniaka swego, woły i kozy swojej obory; błądziły po uliczkach wystraszone, rycząc i becząc żałośnie.

Kury siedziały na drzwiach, a wszędzie, wszędzie były ślady kul!

Przy ostatnim domu, siwiuteńki starzec siedział na progu zruinowanej siedziby swojej i trzymał na kolanach małe dziecię; kiedyśmy przejeżdżali mimo, popatrzył na nas ponuro.

Czy widział nas?...

Nie wiem. Ale z głębokich brózd jego czoła i z zamglonych jego oczu wyglądała rozpacz. Kosztem tylu lat pracy, tylu oszczędności i cierpień, zapewnił sobie spokój na starość, a teraz wszystko zniszczone... Dziecko i on nie mieli jednej dachówki, coby osłoniła ich głowy!...

A wielkie owe doły, ciągnące się przez pół mili, — przy których ludzie miejscowi uwijają się pospiesznie, zapobiegając temu, żeby zaraza nie dokończyła zniszczenia rodu ludzkiego, rozpoczętego przez wojnę — widziałem je także z wierzchołka wzgórza Kaya i ze wstrętem odwróciłem od nich oczy!

Tak, widziałem te ogromne rowy, w których grzebią umarłych: Rosyan, Francuzów, Prusaków, wszystkich razem — jak Bóg ich stworzył, żeby się kochali wzajem, zanim wynaleziono mundury i kitki z piór, które rozdzielają ich na korzyść tych, co nimi rządzą. Leżą oni tam... ściskając się... i jeżeli cośkolwiek z nich wraca do życia, czego trzeba się spodziewać, to kochają się i przebaczą sobie, przeklinając zbrodnię tych, którzy od tylu wieków po-

zwalają im być braćmi dla siebie dopiero po śmierci!...

Ale smutniejszą jeszcze od tego rzeczą był długi szereg wozów z biednymi rannymi. O tych nieszczęśliwych mówią w biuletynach dlatego tylko, by zmniejszyć ich liczbę. Giną oni, jak muchy, w szpitalach, zdala od ukochanych swoich, podczas gdy gdzieindziej strzelają z dział i śpiewają po kościołach, radując się, że pomordowano tysiące ludzi!

Kiedy przybyliśmy do Lutzen, miasto było już tak napełnione rannymi, że kazano nam jechać do Lipska. Na ulicach, wzdłuż domów, na słomie, leżało mnóstwo nieszczęśliwych, nawpół umarłych. Godzinę czasu trzeba było na to, byśmy się dostać mogli przed kościół, gdzie złożono piętnastu lub dwudziestu z pomiędzy nas, którzy nie mogli już znieść dalszej drogi.

Wachmistrz i ludzie jego, pokrzepiwszy się w szynkowni na rogu placu, siedli znowu na konie i jechaliśmy dalej do Lipska.

Teraz już nic nie słyszałem i nie widziałem nic; w głowie mi się kręciło, w uszach szumiało, drzewa brałem za ludzi, a takie miałem pragnienie, że sobie wyobrazić trudno.

Oddawna już inni ranni na wozach zaczęli krzyczeć, bredzić, mówić o matce swej, ojcu, siostrze lub o narzeczonej; chcieli wstawać i wyskoczyć na drogę. Nie wiem, czy robiłem tak samo, ale zbudziłem się, jak ze złego snu, w chwili, kiedy dwaj ludzie podnosili mnie, każdy za jedną nogę,—

ramionami obejmując mnie w pasie, — i nieśli przez ciemny plac. Niebo iskrzyło się gwiazdami, a na froncie wielkiego gmachu, który czarno odbijał wśród nocy, niezliczone roły się światełka: był to szpital przedmieścia Hall w Lipsku.

Dwaj ci ludzie weszli na kręcone schody. Na górze wnieśli mnie do ogromnej sali, gdzie stały trzy szeregi łóżek, jedno tuż obok drugiego. Niepodobna sobie wyobrazić, jakie tam były krzyki, przekleństwa, skargi. Wszyscy ci chorzy mieli gorączkę. Okna były pootwierane, małe latarki drgały od przeciągów powietrza. Infirmierzy, doktorzy, pomocnicy ich, z wielkimi fartuchami, zawiązanymi pod pachą, przesuwali się wciąż po sali. Głuchy szmer, pochodzący z sal, znajdujących się na dole, ludzie, którzy wchodzili i schodzili, nowe konwoje, przybywające na plac, krzyki woźniców, trzaskanie z batów, stuk kopyt koni: wszystko to mieszało się w dziwny chaos i pozbawiało człowieka przytomności.

Tam, po raz pierwszy, podczas, gdy mnie rozbierano, uczułem w łopatce ból tak straszny, że nie mogłem się powstrzymać od krzyku. Zaraz też nadszedł chirurg i złajał tych, którzy nieuważnie obchodzili się z chorym. Oto wszystko, co pamiętam z tej nocy, bo byłem, jak szalony: — wołałem na pomoc Katarzynę, pana Gulden, ciotkę Grédel. Opowiadał mi o tem później sąsiad mój, stary konny kanonier, któremu wówczas nie dałem spać.

Dopiero nazajutrz, około godziny ósmej, przy

pierwszem opatrywaniu, lepiej przypatrzyłem się sali. Wtenczas także dowiedziałem się, że kość w łopatce mam złamaną.

Kiedym się obudził, ujrzałem dokoła siebie z tuzin chirurgów. Jeden z nich, gruby brunet, którego nazywano panem baronem, zdejmował mi bandaż; pomocnik trzymał przy nogach łożka miednicę z ciepłą wodą. Główny doktor zbadał moją ranę; wszyscy inni pochylali się ku niemu, chcąc słyszeć, co mówić będzie. Mówił chwil kilka; ale z tego tyle tylko zrozumiałem, że kula przesunęła się z dołu do góry, że złamała kość i wyszła z tyłu. Przekonałem się z tego, że dobrze znał swój zawód, bo Prusacy istotnie strzelali z dołu, po przez wierzchołek muru ogrodowego i kula musiała pójść w górę. Sam obmył ranę i w jednej chwili założył bandaż tak, że nie mogłem łopatką poruszyć i wszystko było w porzdku.

Czułem się daleko lepiej.

W dziesięć minut potem przyszedł infirmier i włożył mi koszulę, nie sprawiając żadnego bólu; taką już miał w tem wprawę.

Chirurg zatrzymał się przy drugim łożku i przemówił:

— A! ty znów tutaj, stary?

— Tak, panie baronie, znowu tu jestem — odpowiedział kanonier, dumny z tego, że go poznano. — Pierwszy raz oberwałem pod Austerlitz od kartażowego ognia; potem pod Jéną; wreszcie pod Smoleńskiem dwie rany od lancy.

— Tak, tak, pamiętam — rzekł doktor, jak gdyby wzruszony. — A teraz cóż nam jest?

— Trzy cięcia szablą na lewem ramieniu, kiedyś broniał działa mego, przeciw huzarom pruskim.

Chirurg zbliżył się, rozwiązał bandaż i zapytał dzielnego kanoniera:

— Masz krzyż?

— Nie, panie baronie.

— Nazywasz się?

— Krystan Zimmer, wachmistrz w 2-gim pułku konnej artylerji.

— Dobrze! dobrze! — mruknął doktor.

Opatrzył rany i rzekł, powstając:

— Wszystko pójdzie dobrze!

Odwrócił się i zaczął rozmawiać z innym nieborakiem; załatwiwszy się ze wszystkimi chorymi i wydawszy rozkazy infirmierom, wyszedł.

Stary kanonier był uszczęśliwiony; z jego imienia domyśliwszy się, że pochodził z Alzacyi, zacząłem z nim rozmawiać naszym językiem, czem go jeszcze więcej ucieszyłem. Był to chłop, mierzący sześć stóp wzrostu, barki miał okrągłe, czoło płaskie, nos duży, wąsy rudo-blond; z pozoru szorstki i opryskliwy, ale w gruncie dobry człowiek. Przy-mrużał oczy, kiedy mówiono do niego po alzacku i nadstawiał uszu; mógłbym żądać od niego wszystkiego po alzacku, byłby mi wszystko oddał, gdyby

miał cokolwiek; ale miał tylko ręce, któremi tak ścisnął, że aż kości trzeszczały. Nazywał mnie Joséphel, jak u nas i mówił:

— Joséphel, strzeż się połykać lekarstwa, które ci dają... Połykać należy tylko to, co znamy... Wszystko, co śmierdzi, nic nie warte. Gdyby codziennie dawano nam po butelce Rikerizu, prędko bylibyśmy zdrowi; ale łatwiej jest psuć nam żołądki garścią trawska, ugotowanego w wodzie, aniżeli dawać białe wino alzackie.

Kiedy strach mnie przejmował na myśl gorączki i wszystkiego, co mi się wówczas roiło, on przybierał minę zagniewaną i patrząc się na mnie swemi wielkimi, siwemi oczyma, mówił:

— Joséphel, czyś oszalał, że się boisz? Czy takie, jak my, zuchy, mogą umrzeć w szpitalu? Nie... nie... wybij to sobie z głowy.

Ale pomimo jego zapewnień, doktorzy, obchodząc co rano salę, znajdowali siedmiu lub ośmiu umarłych. Jedni zapadali w gorączkę, drudzy zamiębiali się, a zawsze kończyło się to marami, które widzieliśmy, przesuwane się na ramionach infirmierów... Nie wiadomo było, czego potrzebowaliśmy do zdrowia: gorąca czy zimna.

Zimmer mówił do mnie:

— Wszystkiego tego przyczyną, Joséphelu, są te szkaradne mikstury, które doktorowie wymyślają. Czy widzisz tego wielkiego chudzielca? Może on się pochwalić, że zabił więcej ludzi, niż niejedna armata; jest jak gdyby zawsze nabity kartaczami

i z lontem zapalonym. A ten mały brunet? Na miejscu cesarza, posłałbym go Prusakom i Rosyanom; zabiłby im więcej ludzi, aniżeli korpus wojska.

Bawiłbym się jego żartami, gdybym nie widział, jak wciąż niesiono mary.

Po upływie trzech tygodni, kość w łopatce mojej zaczęła się zrastać, dwie rany zabliźniały się powoli, nie cierpiałem prawie wcale. Cięcia szablą, które Zimmer miał na ramieniu i na łopatce, goiły się bardzo dobrze. Codziennie rano dawano nam dobry bulion, który rozgrzewał nasze żołądki, a wieczorem trochę wołowiny i pół szklanki wina, którego sam widok radował już nas i ukazywał przyszłość z pięknej strony.

Wkrótce pozwolono nam przechadzać się po wielkim ogrodzie, pełnym starych więzów za szpitalem. Były tam ławki pod drzewami. Spacerowaliśmy po alejach, jak jacy kapitaliści, w długich naszych, szarych szlafrokach i szlafmycach.

Czas był prześliczny; mogliśmy stąd dojrzeć Partę, nad brzegami której rosły topole. Rzeka ta wpada z lewej strony do Elstery, zarysowując wielkie, niebieskie linie. Z tej samej strony ciągnie się las bukowy, a na przodzie biegną trzy czy cztery drogi białe, które przerzynają łąny zboża, jęczmienia, owsa, plantacje chmielu, słowem wszystko, co można sobie wyobrazić pięknego i bogatego. Widok jest szczególnie wspaniały, kiedy wiatr powieje w tę stronę i kiedy wszystko to faluje w słońcu.

Ciepły czerwiec zapowiadał dobry rok. Często

patrzac na ten piękny kraj, myślałem o Phalsburgu i zaczynałem płakać. Zimmer mówił mi wówczas:

— Chciałbym wiedzieć, czego u diabła płaczesz, Joséphel? Uchroniliśmy się od zarazy szpitalnej, nie straciliśmy ręki, ani nogi, jak tysiące innych biedaków i teraz oto spokojnie siedzimy tu sobie w cieniu, na ławce; dają nam bulion, mięso i wino; pozwalają nawet palić, jeżeli mamy tytuń, i jeszcze niezadowolony? Czegóż ci brakuje?

Opowiedziałem mu wówczas, jak kochałem Kartuzynę, o wycieczkach moich do Quatre Vents, o pięknych naszych nadziejach, zamiarach pobrania się, słowem o tym szczęśliwym czasie, który już przeminął.

Słuchał mnie, paląc fajkę.

— Tak, tak — mówił — smutne to istotnie. Przed konskrypcją 1798 roku, miałem także ożenić się z dziewczyną z naszej wsi; nazywała się Margrédel. Kochałem ją, jak oko w głowie. Daliśmy sobie słowo i podczas całej kampanii zurichskiej, nie było dnia, żebym nie myślał o Margrédeli.

Odchrząknął i ciągnął dalej:

— Otóż, jak tylko dostałem pierwszy urlop, wracam do siebie i czegóż się dowiaduję? Że wyszła zamąż trzy miesiące temu za szewca tam u nas, zwanego Passauf...

Możesz sobie wyobrazić, jak byłem wściekły, Joséphelu. Wpadłem w szaleństwo, chciałem wszystko zburzyć... Dowiedziawszy się, że Passauf jest w piwiarni „pod Wielkim Jeleniem,” natychmiast

pobiegłem tam, nie oglądając się po za siebie. Kiedym przyszedł, ujrzałem go za stołem, przy oknie, wychodzącym na dziedziniec. Zabawiał się z trzema czy czterema łotrami, tego gatunku, co on sam, susząc kufle. Zbliżyłem się, a on zaczyna wrzeszczeć:

— Patrzcie, patrzcie, a toż to Krystyan Zimmer! Jak się masz Krystyanie? Muszę cię pozdrowić w imieniu Margrédeli!

Mrugał oczyma mówiąc to. Ja chwytam w tej chwili dzban i tłukę go na jego lewej skroni, dodając:

— Zanieś to jej ode mnie, Passauf; to mój podarek ślubny!

Naturalnie, że tamci rzucają się na mnie, dwóch czy trzech jeszcze kaleczę konwią, poczem wskakuję na stół, przez okno wyfruwam na dziedziniec i umykam.

Ale zaledwem wróciłem do domu matki, zjawiają się żandarmi i aresztują mnie z wyższego rozkazu. Związanego kładą mnie na furgon i błakając się od brygady do brygady, przywożą mnie nakoniec do mego pułku, który stał w Strassburgu.

Sześć tygodni siedzę w Finmatt, a może nawet skazanoby mnie na kulę, gdybyśmy wówczas nie przeszli Renu, udając się do Hohenlinden. Komentant Constand sam mi powiedział:

— Masz szczęście, że dzielnie celujesz; ale jeżeli jeszcze kiedykolwiek trafi ci się rozbijać ludzi dzbanem, to uprzedzam cię, że źle będzie z tobą.

Czy w ten sposób należy się bić, bydlę jakieś? Od czego mamy szablę, jeżeli nie od tego, aby jej używać w razie potrzeby i z jej pomocą honor krajowi przynosić?

Nic na to nie mogłem odpowiedzieć — miał zupełną słuszność.

Od tego czasu, Joséphelu, straciłem ochotę do żeniaczki. I teraz nie mów mi o żołnierzu, który myśli o żonie: to prawdziwa nędzota. Przyjrzyj się generałom, którzy się poženili, czy biją się, jak dawniej? Nie. Oni tylko myślą o zbieraniu pieniędzy, a głównie o używaniu ich na wygodne życie za piecem, wraz z księżniczkami i małemi książątkami swemi. Mój dziad Yéri, gajowy, zawsze mówił, że dobry pies myśliwski powinien być chudy. Pominąwszy różnice stopni, to samo myślę o dobrych generałach, co i dobrych żołnierzach. My, żołnierze, zawsze jesteśmy na ordynansie, ale generałowie nasi tyją, a to z powodu dobrych obiadów, które jedzą w domach swoich.

Tak mówił do mnie Zimmer w szczerości ducha swego, ale to mnie wcale nie pocieszało.

Skoro tylko mogłem wstać, pośpieszyłem zaawiadomić pana Gulden listem, że jestem w szpitalu Hall, na jednym z przedmieści Lipska, a to z powodu lekkiej rany w ramię; że jednak nie trzeba lękać się o mnie, bo czuję cię coraz lepiej. Prosiłem go, aby pokazał list mój Katarzynie i ciotce Grédel, niech się uspokoją trochę co do tej strasznej wojny, bo ma się już ona chyba ku końcowi. Pisałem mu

także, iż największem szczęściem byłoby dla mnie, gdybym miał wiadomości z kraju o zdrowiu tych, których kocham.

Odtąd nie miałem spokoju; co rano czekałem odpowiedzi, ta wszakże nie nadchodziła. Kiedy wachmistrz rozdawał listy na sali — było ich zawsze dwadzieścia, czasem trzydzieści — ja patrzyłem na to zawiedziony, bo do mnie nic nie było; serce mi się wtedy krwawiło: szybko biegłem do ogrodu i tam zalewałem się łzami.

Była w ogrodzie ciemna ustron, gdzie rzucono potłuczone garnuszki; miejsce to, mocno zacienione, najwięcej mi się podobało, bo chorzy nigdy tam nie zachodzili. W tym zakątku, na spróchniałej ławce, spędzałem czas marząc. Złe myśli przychodziły mi do głowy: czasem posądzałem Katarzynę o zapomnienie przyrzeczeń i myślałem sobie:

— Ach! gdybyś był zginał pod Kaya, wszystkoby się skończyło!... Dlaczego nie pozostawiono cię tam? To lepiej byłoby, aniżeli tyle cierpieć.

Rozdrażnienie moje doszło do tego stopnia, że nie chciałem już wyzdrowieć.

Wreszcie pewnego rana wachmistrz, między innymi, wywołał Józefa Berthe. Podniosłem wówczas rękę, nie mogąc słowa przemówić. Odano mi gruby, we czworo złożony list, pokryty niezliczonymi markami. Poznawszy pismo pana Gulden, zbladłem.

— No! — rzekł Zimmer śmiejąc się — przyszedł na koniec.

Nie odpowiedziałem mu nic. Ubrawszy się,

wsunąłem list do kieszeni, poczem zeszedłem na dół, by go przeczytać samotnie, w głębi ogrodu, w mojem ulubionem miejscu.

Otworzywszy kopertę, ujrzałem naprzód dwa czy trzy kwiatki jabłoni i przekaz pocztowy z kilku słowami pana Gulden. Po za tem znalazłem pismo Katarzyny, na którego widok, zdrząłem od stóp do głowy. Czas pewien patrzyłem na nie zamglonemi oczyma, nie mogąc czytać. Serce mi biło gwałtownie, byłem niewypowiedzianie wzruszony.

Uspokoiwszy się nieco, zacząłem powoli czytać list, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby się upewnić, iż się nie mylę, że to moja droga Katarzyna pisała do mnie, że to nie sen.

List ten zachowałem, bo wrócił mi niejako życie. Oto co zawierała ta szacowna karta, z datą 8 czerwca 1813 roku:

„Mój Kochany Józefie!

„List ten piszę dlatego, aby Ci naprzód powiedzieć, że kocham Cię coraz bardziej i Ciebie jednego tylko kochać będę zawsze.

„Wiedz także o tem, że największem mojem zmartwieniem jest to, iż leżysz ranny w szpitalu i że nie mogę Cię pielęgnować. Jest to bardzo wielkie zmartwienie. Od wyjścia rekrutów, nie mieliśmy ani godziny spokoju. Matka gniewa się, mówi, że szalona, ponieważ płacze dzień i noc, chociaż i ona płacze również, kiedy wieczorem zostanie sama przy

ognisku; słyszę to dobrze z góry. Gniew jej spada na Pinakla, który nie śmie już pokazywać się na rynku, wiedząc, że ona nosi w koszyku swoim młot na niego.

„Ale największy nas smutek ogarnął, Józefie, kiedy rozeszła się pogłoska o stoczonych bitwie, w której tysiące ludzi zginęło. Przeraziłyśmy się okropnie; matka co rano biegła na pocztę, a ja nie mogłam ruszyć się z łóżka. Nakoniec list Twój przyszedł. Teraz lepiej mi jest, bo płacząc swobodnie, dziękując Bogu, za ocalenie Ci życia.

„Gdy pomyślę, jak byliśmy szczęśliwi wówczas, Józefie, kiedy przychodziłeś do nas w niedzielę i kiedy siedzieliśmy jedno obok drugiego, nie myśląc o niczem... Ach! nie rozumieliśmy szczęścia naszego; nie wiedzieliśmy, co może nas spotkać. Ale niech się dzieje wola Boża! Żebyś przynajmniej wyzdrowiał teraz, żebyśmy mogli mieć nadzieję, iż znów będziemy razem, jak dawniej!

„Wiele osób mówi o pokoju ale tyle nieszczęść spadło już na nas i cesarz tak lubi wojnę że nie można wierzyć niczemu.

„Najwięcej mnie to cieszy, że rana Twoja nie jest niebezpieczną, że kochasz mnie jeszcze... Ach! Józefie, ja zawsze kochać Cię będę, nic innego powiedzieć nie mogę; oto wszystko, co mogę Ci powiedzieć z głębi serca, a wiem, że i matka kocha Cię też bardzo.

„Teraz Pan Gulden chce także napisać do Ciebie słów kilka, całuję Cię więc tysiąc tysięcy razy.

„Piękny tu bardzo czas mamy; zapowiada się dobry rok. Wielka jabłoń w sadzie obsypana kwiatami; zerwę ich kilka i włożę do listu, gdy Pan Gulden skończy pisać. Może Bóg da, że raz jeszcze będziemy jedli razem jedno z tych jabłek. Uściśnij mię tak, jak ja Ciebie i bądź zdrów, bądź zdrów, Józefie!“

Czytając to, zalewałem się łzami, a kiedy Zimmer nadszedł rzekłem do niego:

— Chodź, siadaj, przeczytam ci, co pisze moja ukochana, a zobaczysz, czy jest na świecie druga Margrédel.

— Pozwól mi tylko zapalić fajkę — mruknął.

Skrzesał ognia, zapalił fajkę, a potem dodał:

— Możesz zaczynać, Joséphel; ale uprzedzam cię, że stary i nie wszystkiemu, co napisane, wierzę... Kobiety chytrzejsze są od nas.

Pomimo to, odczytałem mu powoli list Katarzyny.

Nic nie mówił, a kiedy skończyłem, wziął go ode mnie i długo przypatrywał mu się ze smutkiem; wreszcie oddał mi go, mówiąc:

— To, Joséphel, dobra dziewczyna, pełna zdrowego rozsądku. Ona nigdy innego nie weźmie.

— Sądzisz, że mnie kocha?

— Tak, możesz jej ufać; nigdy nie wyjdzie za takiego Passaufa. Prędzejby nie dowierzał cesarzowi, aniżeli podobnej dziewczynie.

Słyszając te słowa Zimmera, omal nie rzuciłem

mu się na szyję. Chcąc mu się choć drobiazgiem wywdzięczyc, rzekłem:

— Przesłano mi z domu sto franków, które odbierzemy z poczty. Ta rzecz dotyczy wina białego. Postarajmy się wyjść stąd.

— Dobrze pomyślano — mruknął — muskając wielkie swe wąsy i wkładając fajkę do kieszeni. — Nie lubię pleśnieć w ogrodzie, kiedy po za nim są dwie oberże. Trzeba postarać się o pozwolenie wyjścia.

Wstaliśmy wesoło i wchodziliśmy właśnie na schody, kiedy wachmistrz, który schodził z góry, zatrzymał Zimmera, pytając go:

— Czy to wy jesteście Krystyan Zimmer, kanonier z 2-go pułku artylerii konnej?

— Nieinaczej, panie wachmistrzu, mam ten honor.

— W takim razie mam coś dla was — rzekł wachmistrz, podając mu pakiet i wielki list.

Zimmer osłupiał, bo nigdy nie przysyłano mu nic, ani z domu, ani znikąd. Otworzył pakiet, w którym było pudełko, — potem otworzył pudełko i ujrzął krzyż Legii Honorowej.

Zbladł wówczas, oczy mu się zamglily, oparł się o poręcz schodów. Po chwili krzyknął: — Niech żyje cesarz! — głosem tak donośnym, że we wszystkich trzech salach, jak w kościele, odbiły się te słowa wielkiem echem.

Wachmistrz patrzył na niego z uśmiechem.

— Radzi jesteście? — zapytał.

— Czy jestem rad, wachmistrzu! Teraz tylko jednej rzeczy mi trzeba.

— Czego?

— Pozwolenia wyjścia na miasto.

— Musicie prosić o nie pana Tardieu, głównego chirurga.

Zszedł na dół śmiejąc się, a że była to godzina odwiedzin lekarskich, poszliśmy zatem, trzymając się pod rękę, prosić o pozwolenia majora, starego, z siwą głową, który słyszał okrzyk: — Niech żyje cesarz! — i patrzył teraz na nas poważnie.

— Co to jest? — zapytał.

Zimmer pokazał mu krzyż i odparł:

— Przepraszam, majorze, ale zdrow jestem, jak ryba.

— Wierzę temu — rzekł pan Tardieu — Chcecie pozwolenia na wyjście?

— Jeżeli łaska pańska, dla mnie i mego kolegi, Józefa Berthe.

Doktor oglądał mi ranę dnia poprzedniego; wyjął więc z kieszeni swój pugilares i dał nam dwa pozwolenia.

Wyszliśmy dumni, jak króle: Zimmer ze swego krzyża, a ja z listu mego.

Na dole, w wielkim przysionku, odzwierny zawołał do nas:

— A no! a no! gdzież to idziecie?

Zimmer pokazał mu nasze bilety i wyszliśmy szczęśliwi, że możemy odetchnąć innem powietrzem.

Szyldwach wskazał nam biuro pocztowe, gdzie udałem się po moje sto franków.

Wówczas, poważniejsi już, bo radość nasza stała się bardziej wewnętrzna, skierowaliśmy się ku bramie Hall, odległej o dwa strzały na lewo, przy końcu długiej alei lipowej.

Każde przedmieście oddzielone jest od starych szanców jedną z takich alei, a dokoła Lipska, znajduje się także aleja bardzo szeroka, również wysadzona lipami. Za szanice służą stare mury, — jak w Saint-Hippolyte, nad Górnym-Renem, — na których trawa porasta. Chyba, że Niemcy naprawili je po 1813 roku.

IV.

Iluż nowin mieliśmy się dowiedzieć dnia tego!

W szpitalu nikt się nie troszczy o nic. Kiedy codziennie rano patrzy się na to, jak przywożą pięćdziesięciu rannych, a wieczorem widzi się, jak tyluż ich wynoszą na marach, — to świat maleje w oczach i myślisz sobie:

— Za nami wszystko się kończy!

Ale skoro wyjdiesz na świat, myśli twoje zmieniają się.

Kiedym się znalazł na wielkiej ulicy Hall, całe to stare miasto, jego magazyny i bramy, przepelnione towarami, dachy wystające, jakby szop, wielkie wozy, naładowane pakami, słowem całe to widowisko życia gorączkowego kupców zachwytiło mnie. Nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego i mówiłem sobie:

— Oto prawdziwe miasto handlowe, jak je sobie przedstawiamy: — pełne energicznych ludzi, sta-

rających się zapracować na życie, dostatek i bogactwo; gdzie każdy chce się wybić nie ze szkoda innych, ale pracując, przemyślając dzień i noc nad sposobami zapewnienia dobrobytu rodzinie swojej. Nie przeszkadza to jednak całemu światu korzystać z ich wynalazków i odkryć. Oto szczęście pokoju wśród straszliwej wojny!

I litość mnie brała, gdym patrzył na biednych rannych, którzy szli z ręką na temblaku, lub powłóczyli nogą, opierając się na kulach.

Zamyślony, pozwalałem się prowadzić mojemu przyjacielowi Zimmerowi, który poznawał wszystkie te kąty i mówił mi:

— To jest kościół Świętego Mikołaja; to wielki gmach Uniwersytetu; to Ratusz.

Pamiętał tu wszystko, bo był w Lipsku w 1807 roku, przed bitwą friedlandską.

— Jesteśmy tutaj, jak w Metz, w Strassburgu, lub gdziekolwiek we Francji. Ludzie dobrze nam życzą. Po kampanii w 1806 roku, okazywano nam jak największą uprzejmość. Mieszczanie zapraszali nas po trzech, czterech do siebie na obiad. Wydawano bale dla nas i nazywano bohaterami Jeny. Zobaczysz, jak nas kochają! Możemy wejść, gdzie chcemy, a wszędzie przyjmą nas, jak dobroczyńców kraju. My to mianowaliśmy ich elektora królem saskim i daliśmy mu także dobry kawałek Polski.

Nagle Zimmer zatrzymał się przed jakimiś niskimi drzwiczkami, wołając:

— Patrzcie, toż to piwarnia „pod Złotym Baranem!” Front jest po tamtej stronie, ale możemy wejść tędy. Chodź!

Wszedłem za nim do kurytarza krętego, który zaprowadził nas wkrótce na stary dziedziniec, otoczony wysokimi budynkami, ulepionymi z gliny, z małemi, spróchniałemi galeryjkami pod kończącym szczytem muru i z chorągiewką na wierzchu, jak na ulicy Fossé-des-Tanneurs w Strassburgu.

Na prawo była piwiarnia: koło niej widać było kadzie, okute żelazem, leżące na czarnych belkach, kupy chmielu i jęczmienia już wygotowane, a w kącie jednym wielkie koło z korbą, które obracał ogromny pies, pompując piwo na wszystkie piętra.

Brzęk szklanek i blaszanych dzbanów dochodził z sali na prawo, zwróconej ku ulicy Tilly, a pod oknami tej sali znajdowała się głęboka piwnica, gdzie rozlegał się stuk młota bednarza. Przyjemny zapach młodego, marcowego piwa rozchodził się w powietrzu.

Zimmer, podniósłszy oczy na dachy, z twarzą rozpromienioną zawołał:

— Tak, to tutaj przychodziliśmy: wielki Ferré, kanonier z lewej strony działa, gruby Rousillon i ja. Wielki Boże, jakże się cieszę, Joséphel, że widzę to wszystko znowu! Bo też to już sześć lat minęło od tego czasu. Biedny Rousillon złożył kości swoje w przeszłym roku w Smoleńsku, a wielki Ferré musi być teraz we wsi swojej, bo stracił nogę pod Wa-

gram. Jak to się wszystko przypomina, kiedy się pomyśli o tem!

To mówiąc, pchnął drzwi i weszliśmy do wysokiej sali, pełnej dymu.

Po chwili dopiero, kiedy oko oswoiło się z owym szarym obłokiem, ujrzałem długi szereg stołów, otoczonych pijącymi, którzy po większej części mieli na sobie krótkie surduty i małe czapeczki; inni byli w mundurach saskich. Pierwsi byli to studenci, młodzi synowie rodzin, którzy przyjeżdżają do Lipska uczyć się prawa, medycyny i wszystkiego tego, czego można się nauczyć, wypróbniając kufle i prowadząc wesołe życie, które w swym języku nazywają *Fuchseommerc...*

Biją się oni często pomiędzy sobą, używając do tego rapirów, zaokrąglonych na końcu i zaostzonych tylko na kilka linii; w ten sposób robią sobie tylko szramy na twarzy, jak mi opowiadał Zimmer, ale nigdy niebezpieczeństwo nie grozi ich życiu. Świadczy to o zdrowym rozsądku, tych studentów, którzy snąc wiedzę o tem dobrze, że życie jest cenną rzeczą i że lepiej mieć pięć lub sześć, a nawet więcej szram na twarzy, niż je postradać.

Zimmer śmiał się, opowiadając mi o tem. Miłość sławy zaślepiła go. Utrzymywał, że gdyby kto nabił działa pieczonemi jabłkami, znaczyłoby to samo, co bić się z owemi zaokrąglonemi rapirami.

Skoro weszliśmy do sali, ujrzeliśmy najstarszego z pomiędzy owych studentów. Był to suchy,

wysoki mężczyzna, z zapadłymi oczyma, z nosem czerwonym i z brodą blond, wpadającą w żółty kolor, a to od zbyt częstego moczenia jej w piwie. Stał na stole i głośno czytał gazetę, która z prawej ręki zwieszała mu się nakształt fartucha. Drugą ręką trzymał porcelanową fajkę.

Wszyscy koledzy jego, z włosami również blond, które w długich puklach spadały im na kołnierze krótkich surdutów, słuchali go, trzymając do góry kufle.

W chwili, kiedyśmy wchodzili, usłyszeliśmy, jak powtarzali między sobą:

— *Faterland! Faterland!*

Uderzali przytem kufle o kufle, pijąc do żołnierzy saskich, podczas, gdy ów wysoki, suchy nachylił się także, chcąc wziąć swój kufel, a gruby piwowar, z głową siwą i kręconemi włosami, ze spłaszczonym nosem, z okrągłemi oczami i z policzkami, przypominającemi dynię, krzyczał szepleniąc:

— *Gesudheit! Gesundheit!*

Zaledwieśmy postąpili cztery kroki wśród tego dymu, wszystko naraz umilkło.

— No, no, koledzy—zawołał Zimmer—nie przeszkadzamy, czytajcie, cóż u dyabła? Radziłyśmy też dowiedzieć się czegoś nowego.

Ale młodzi ludzie nie chcieli korzystać z zaprosin naszych, ów stary zaś zszedł ze stołu, złożył gazetę i schował ją do kieszeni.

— Skończyliśmy już — rzekł — skończyliśmy.

— Tak, skończyliśmy — powtórzyli inni, spoglądając na siebie dziwnym wzrokiem.

Żołnierze sascy wyszli natychmiast, jak gdyby chcąc odetchnąć powietrzem na dziedzińcu i znikli.

Gruby oberżysta zapytał nas:

— Może nie wiecie, że wielka sala jest od ulicy Tilly?

— Owszem, wiemy o tem dobrze — odpowiedział Zimmer — ale wolę tę małą. Tutaj przychodziliśmy niegdyś, dwaj starzy koledzy i ja, wychylić parę kufłów na cześć Jeny i Austerlitz. Sala ta miłe we mnie budzi wspomnienia.

— A!... jak chcecie, jak chcecie — mruknął piwowar. — Żądacie piwa marcowego?

— Tak, dwa kufle i gazetę.

— Dobrze! dobrze!

Podał nam dwa kufle i Zimmer, który nie zauważył nic, próbował zawiązać rozmowę ze studentami; ale ci usuwali się od niej pod różnemi pozorami i jeden za drugim wychodzili.

Czułem, że ci ludzie czuli do nas nienawiść tem straszniejszą, że nie śmieli jej okazać.

W gazecie, która pochodziła z Francji, mówiono tylko o zawieszeniu broni, po dwóch nowych zwycięstwach pod Bautzen i pod Wurtschen. Dowiedzieliśmy się wówczas, że zawieszenie to rozpoczęło się 6 czerwca i że odbywały się konferencye w Pradze, w Czechach, w celu zawarcia pokoju.

Naturalnie, że robiło mi to przyjemność; mia-

łem nadzieję, iż przynajmniej kalekich odesła do domów.

Ale Zimmer, swoim zwyczajem mówiąc tak głośno, że cała sala go słyszała, przerywał mi za każdym wierszem:

— Zawieszenie broni!... A nam po co zawieszenie broni, nam? Pobiwszy Prusaków i Rosyan pod Lutzen, pod Bautzen i pod Wurtschen, czy nie powinniśmy zniszczyć ich do szczętu? A oni gdyby nas pobili, czyby się zgodzili na zawieszenie broni? Otóż, widzisz, Józefie, to taki charakter cesarza, nadto jest dobry... nadto dobry!... Jest to jego jedyna wada. Zrobił to samo po Austerlitz i musieliśmy potem rozpoczynać na nowo. Powiadam ci, że jest nadto dobry. Gdyby nie był tak dobry, byliśmy panami całej Europy.

Mówiąc to, oglądał się na prawo i lewo, pytając o zdanie innych. Ale strasznie krzywo patrzono na nas i nikt nie chciał odpowiadać.

Nakoniec Zimmer powstał.

— Idźmy, Józefie — rzekł. — Co do mnie, nie znam się na polityce; ale powiadam, że nie powinniśmy dawać zawieszenia broni tym łotrom; kiedyśmy ich obalili już, to trzeba było i podeptać.

Zapłaciwszy wyszliśmy, a Zimmer wtedy rzekł do mnie:

— Nie wiem, co im dziś jest; przeszkodziliśmy im w czemś widocznie.

— Bardzo być może — odpowiedziałem — nie

wyglądali wcale na naszych przyjaciół, jak mnie o tem upewniałeś.

— To prawda — potwierdził. — Bo to widzisz, ci młodzi ludzie daleko niżej stoją od dawnych studentów, których spotykałem tutaj. Tamci, rzecz można, życie swoje przepędzali w piwiarni. Wypijali po dwadzieścia a nawet po trzydzieści kufli dziennie. Ja sam, Józefie, nie mogłem walczyć z podobnymi zuchami. Pięciu czy sześciu z pomiędzy nich miało już siwą brodę i wyglądało poważnie; nazywano ich *seniorami*. Śpiewaliśmy razem *Fanfau-la-Tulipe* i „*Król Dagobert*“, piosnki wcale nie polityczne. Ci nie warci tamtych!

Nieraz potem myślałem o tem, co nas spotkało dnia tego i dziś jestem pewny, że studenci owi należeli do *Tugend-Bundu*.

Kiedyśmy wrócili do szpitala, zjadłszy dobry obiad i wypiwszy po butelce dobrego, białego wina w oberży „pod Gronem“, przy ulicy Tilly, dowiedzieliśmy się, Zimmer i ja, że tegoż wieczora pójdziemy spać do koszar Rosenthâlu.

Był to rodzaj przytułku dla tych rannych pod Lutzen, którzy zaczynali już przychodzić do zdrowia. Żyło się tam, jak w garnizonie: rano i wieczór trzeba było stawać do apelu. Resztę czasu byliśmy wolni. Co trzy dni doktor odwiedzał nas, temu zaś, który wyzdrowiał zupełnie, dawano pasport i kazano łączyć się z korpusem, do którego należał.

Można sobie wyobrazić, jakie było położenie

owych kilkunastuset biedaków, ubranych w szare mundury z ołowianami guzikami, wielkie kaszkiety w kształcie wazonów i trzewiki, zużyte marszami i kontrmarszami. Błdzi, mizerni, po większej części bez grosza, cóż mogli znaczyć w tak bogatym, jak Lipsk, mieście? Niebardzo wspaniale wyglądałiśmy wśród tych studentów, tych mieszczan zamożnych, tych młodych, śmiejących się kobiet. Pomiędzy naszej sławy, wszyscy patrzyli na nas, jak na żebraków.

Położenie nasze więcej jeszcze smutniejszym mi się wydało, po tych wszystkich pięknych rzeczach, które kolega mi opowiadał.

Prawda, że kiedyś przyjmowano nas tu dobrze; ale nasi niezawsze uczciwie postępowali względem tych, którzy ich, jak bracia, przyjmowali i teraz zamykano nam drzwi przed nosem. Od rana do wieczora spoglądaliśmy tylko na place, kościoły i wystawy masarskie, które w tym kraju bardzo są piękne.

Staraliśmy się o rozmaite rozrywki: starzy grali w *drogue*, młodzi w *bouchon*. Urządzaliśmy także przed koszarami grę w kota i szczura. Przy tej grze wbija się kołek w ziemię, do którego przywiązane są dwa sznurki — szczur trzyma jeden z nich, a kot drugi. Oba mają oczy zawiązane; kot uzbrojony jest w gruby a krótki kij i stara się spotkać ze szczurem, który nadstawia ucha i unika go, jak może. Tak się kręca dokoła na palcach i zaba-

wiają całe towarzystwo widokiem swojej zręczności.

Zimmer opowiadał mi, że dawniej poczciwi Niemcy tłumnie schodzili się patrzeć na to widowisko i że o pół mili słyhać było ich śmiech, kiedy kot dotknął kijem szczura. Ale czasy zmieniły się bardzo; teraz ludzie przechodzili, nie odwracając głowy nawet; napróżno staraliśmy się wzbudzić w nich współczucie.

Podczas tych sześciu tygodni, które przepędziliśmy w Rosenthâlu, Zimmer i ja często zwiedzaliśmy miasto dla rozrywki. Wychodziliśmy przedmieściem Randstatt i szliśmy aż do Lindenau, po drodze do Lutzen. Nie widzieliśmy dokoła nic, prócz mostów, bagien i małych wysp. W szynku „pod Karpem“ jedliśmy jajecnicę ze słoniną i zapijaliśmy ją butelką wina białego.

Nie dawano nam nic na kredyt, jak to było po bitwie pod Jeną; przeciwnie, sędzę, że oberżysta kazałby nam płacić w dwójnasób, a nawet w trójnasób, gdyby towarzysz mój nie znał ceny jaj, słoniny i wina, jak pierwszy lepszy Niemiec.

Wieczorem, kiedy słońce zachodziło za trzciny Elstery i Pleissy, wracaliśmy do miasta przy melancholicznem rechotaniu żab, których miliardy żyją w tych bagnach.

Czasami zatrzymywaliśmy się na którym z mostów i oparłszy się o poręcz, patrzyliśmy na dawne szaniec Lipska, na jego kościoły, starożytne rudery i zamek Plessenburg, wszystko oświecone czerwo-

nawem światłem zachodu. Miasto szpicem wsuwa się w ką, utworzony przez Pleissę i Parthę, które łączą się z sobą poniżej.

Lipsk ma kształt wachlarza; przedmieście Hall znajduje się na końcu, a siedm innych przedmieści tworzy gałęzie tego wachlarza.

Patrzyliśmy też na tysiące ramion Elstery i Pleissy, krzyżujących się z sobą, jak sieć, między wyspami ciemnymi już, podczas kiedy woda świeciła się, jak złoto; znajdowaliśmy to bardzo pięknem.

Ale gdybyśmy wiedzieli, że kiedyś, przegrawszy najstraszniejszą i najkrwawszą z bitew, przyjdzie nam przebywać te rzeki pod działaniami wrogów i że całe pułki poginą w tych wodach, które teraz sprawiały przyjemność oczom naszym, — gdybyśmy byli wiedzieli o tem, sądzę, że widok ten zasmuciłby nas bardzo.

Innym razem szliśmy brzegiem Pleissy aż do Mark-Klébergu. Przestrzeń ta wynosiła więcej niż milę, a wszędzie łany pokryte były zbożem, które pośpiesznie sprzątano. Ludzie, siedzący na wielkich wozach, zdawali się nie widzieć nas; kiedyśmy ich pytali o co, zdawali się nas nie rozumieć. Zimmer chciał ich za to łajać, ale powstrzymałem go, przestrzegając, że widocznie szukali tylko pozorów jakiego, by rzucić się na nas i że zresztą kazano nam względnie postępować z ludnością.

— Dobrze, dobrze! — mrucał — ale skoro wojna się zacznie... strzeżcie się! Obsypaliśmy ich dobrodziejstwami... i oto jak nas przyjmują!

Niechęć tych ludzi względem nas maluje się lepiej jeszcze w tem, co nam się przytrafiło naza-jutrz po zawieszeniu broni. Tego dnia, koło godziny jedenastej, zachciało się nam wykąpać w Elsterze. Rozebraliśmy się już, kiedy Zimmer spostrzegłszy chłopą, idącego drogą z Konewitz, zapytał go:

— Hej! kolego, niema tu niebezpieczeństwa?

— Nie, nie, wchodźcie śmiało — odpowiedział ów człowiek; — tu miejsce zupełnie bezpieczne.

Zimmer, nie żywiąc najmniejszego podejrzenia, zanurzył się i poszedł na dół o piętnaście stóp. Pływał dobrze, ale ramię lewe miał jeszcze słabe; prąd wody porwał go, nie dając mu czasu ucześcić się gałęzi wierzby, zwieszających się nad wodą. Gdyby, na szczęście swoje, nie trafił trochę dalej na bród, co mu pozwoliło przyjść do sił, byłby się dostał między dwie ławice mułu, skąd nigdyby już nie wyszedł.

Chłop zatrzymał się na drodze, chcąc widzieć, co będzie dalej. Gniew mnie porwał, zacząłem szybko ubierać się, z daleka pokazując mu pięść, ale on zaczął się śmiać i śpiesznie podążył do wsi.

Zimmer nie posiadał się z oburzenia; chciał biedz do Konnewitz i odszukać tego łotra; ale było to niepodobieństwem: czyż można znaleźć w trzystu lub czterystu chałupach człowieka, który się ukrywa? Zresztą, gdybyśmy go nawet znaleźli, cóżbyśmy mu mogli zrobić?

Wykąpaliśmy się, znalazłszy istotnie bezpieczne miejsce, a chłód wody uspokoił nas i orzeźwił.

Pamiętam, że kiedyśmy wracali do Lipska, Zimmer myślał tylko o zemście.

— Cały kraj jest przeciw nam—mówił:—mieszczanie krzywią się na nas, kobiety odwracają się do nas plecami, chłopci chcą nas topić, oberżyci odmawiają kredytu, jak gdybyśmy ich nie zawojowali dwa czy trzy razy. A wszystkiemu temu winna nasza, nadzwyczajna dobroć: powinniśmy oświadczyć im bez ogródek, żeśmy tu panami! Daliśmy Niemcom królów i książąt; daliśmy im nawet hrabiów, i baronów, którym ofiarowaliśmy nazwy ich wiosek; obsypaliśmy ich honorami — i oto teraz jaka ich wdzięczność!

Zamiast kazać nam oszczędzać mieszkańców, trzeba było dać nam zupełną władzę nad nimi; zbóje ci mieliby wówczas inną minę i przyjmowaliby nas tak, jak w 1806 roku. Siła jest wszystkim. Siła najprzód bierze się rekrutów, bo wszyscy zostaliby w domu, gdyby ich nie pociągnięto siłą do szeregów. Siłą następnie robi się żołnierzy z rekrutów, ucząc ich karności; siłą wygrywają się bitwy i siłą wszystko się wówczas u ludzi zabiera. Wznoszą oni tedy łuki tryumfalne i nazywają zwycięzców bohaterami dlatego, że się ich boją. To tak.

Tu Zimmer westchnął i po chwili dodał:

— Cesarz nadto jest dobry... Gdyby nie był tak dobrym, ja dzisiaj nie byłbym narażony na utonięcie; spojrzawszy na mundur mój, chłop ów nie ośmieliłby się skłamać.

Tak mówił Zimmer i dziś jeszcze pamiętam jego słowa, pamiętam i to nawet że był wtedy dzień 12 sierpnia 1813 roku.

Wchodząc do Lipska, spostrzegliśmy na twarzach mieszkańców malującą się radość. Nie okazywano jej otwarcie, ale mieszczanie, spotykając się na ulicy, zatrzymywali się i podawali sobie ręce; kobiety odwiedzały się wzajem; pewien rodzaj wewnętrznej zadowolenia błyszczał nawet w oczach sług i najnędnějších robotników.

Zimmer rzekł do mnie:

— Niemcy wyglądają wesoło jakoś, zdają się być w dobrym humorze.

— Tak — odpowiedziałem — to z powodu dobrej pogody i ukończenia żniwa.

W istocie czas był bardzo piękny; ale kiedyśmy przybyli do koszar w Rosenthâl, ujrzelśmy oficerów naszych koło wielkich drzwi, rozmawiających z sobą bardzo żywo. Żołnierze, stojący na warcie słuchali, a i przechodnie zbliżali się, także, chcąc się czegoś dowiedzieć...

Objaśniono nas, że układy w Pradze zostały zerwane i że Austriacy wypowiadają nam również wojnę; zatem jeszcze dwieście tysięcy ludzi zważyło nam się na kark.

Potem dowiedziałem się, żeśmy mieli trzysta tysięcy ludzi przeciw pięciuset dwudziestu tysiącom i że w liczbie nieprzyjaciół naszych było dwóch generałów francuzkich: Moreau i Bernadotte.

Każdy mógł się dowiedzieć o tem z gazet, ale

my nie wiedzieliśmy jeszcze tego i byliśmy pewni, że odniesiemy zwycięstwo, ponieważ ani jednej bitwy nie przegraliśmy dotąd.

Zresztą, nie troszczyliśmy się wcale o kwaśne miny mieszkańców: w czasie wojny chłopci i mieszczanie nie idą, jeżeli można się tak wyrazić, w rachunek; żąda się od nich tylko pieniędzy i żywności, co zawsze dają, bo wiedzą, że za najmniejszym oporem, zabranoby im wszystko do ostatniego szeląga.

Nazajutrz po tej doniosłej wiadomości, nastąpiła ogólna wizyta doktorów i dwustu rannych z pod Lutzen, już prawie zdrowych, otrzymało rozkaz udania się do swoich korpusów. Wychodzili kompaniami, z bagażami i bronią, jedni drogą do Altenburga, w górę Elstery, drudzy drogą do Wurtzen, więcej na lewo.

Zimmer był także w tej liczbie, bo sam prosił, by mu pozwolono iść. Odprowadziłem go aż do bram miasta i tam uścisnęliśmy się z rozrzewnieniem. Ja pozostałem, bo nadto słabe jeszcze miałem ramię.

Pozostało nas wszystkiego pięciuset, czy sześciuset, a w tem była pewna liczba fehmistrzów, nauczycieli tańca i elegancyi francuskiej, owych zuchów, co tworzą niejako tło wszystkich przytułków dla rekonwalescentów. Nie starałem się wcale o poznanie się z nimi i jedyną pociechą moją było myśleć o Katarzynie, a czasem o moich starych kolegach, Klipfelu i Zébédé, o których nie miałem żadnej wiadomości.

Smutne pędziliśmy życie; ludzie patrzyli na nas krzywo, nie śmieli jednak nic mówić, bo wiedzieli, że wojsko francuskie stoi o cztery dni drogi, a Blücher i Schwartzenberg są znacznie dalej. Gdyby nie to, byłiby nas za gardło chwycili!

Jednego wieczora rozeszła się pogłoska, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo pod Dreznem. Ogólne powstało wówczas przerażenie, mieszkańcy nie wychodzili z domów swych. Poszedłem przeczytać gazetę „pod Grono“ przy ulicy Tilly. Dzienniki francuskie leżały wszystkie na stole; nikt, oprócz mnie, nie otwierał ich.

Ale w następnym tygodniu, z początkiem września, spostrzegłem na twarzach mieszkańców takie same rozradowanie, jak tego dnia, kiedy Austriacy oświadczyli się przeciwko nam.

Pomyślałem sobie, że musiało nas spotkać niepowodzenie i tak było w istocie, jak się dowiedziałem później, bo gazety paryskie nic o tem nie mówiły.

Pod koniec sierpnia, rozpoczęła się słońca, deszcz lał jak z wiadra. Nie wychodziłem już z koszar. Często, siedząc już na łóżku i patrząc przez okno, jak Elstera pieni się od deszczu i drzewa na wysepkach uginają się od wichru, myślałem sobie:

— Biedni żołnierze!... biedni koledzy!... co teraz robicie?... gdzie jesteście?... Może na drodze, może wśród pola!

Chociaż smutno mi było tam pozostawać, czułem, że lepiej mi było jednak, niż im.

Lecz pewnego dnia stary chirurg Tardieu, zrewidowawszy mnie, rzekł:

— Zdrowe już masz ramię... Możesz wrócić do szeregu.

Nazajutrz podczas apelu kazano mi pójść na salę, gdzie leżały stosy mundurów, tornistrów, ładownic i trzewików. Dano mi karabin, dwie paczki ładunków i pasport do 6-go pułku w Gauernitz, nad Elbą. Było to 1-go października.

Wyruszyliśmy w liczbie dwunastu czy piętnastu; furyer z 27-go pułku, nazwiskiem Poitevin, prowadził nas.

W drodze to jeden to drugi zbaczał, udając się do swego korpusu; ale Poitevin, czterech żołnierzy piechoty i ja szliśmy razem aż do wsi Gauernitz.

V

Szliśmy wielkim traktem Wentzenu, z karabinem na ramieniu, mundurem podkasanym, uginając karku pod tornistrem i mocno znużeni naturalnie. Deszcz padał, woda ściekała z kaszkietu na kark; wiatr trząsał topolami, których żółte liście, tańcząc koło nas, zwiastowały zimę.

Tak upływały godziny za godzinami.

Od czasu do czasu ukazywała się wieś jakaś ze swemi szopami, gnojowiskami i ogrodami, opasanemi płotem. Z po za małych, zapyłonych szybek, patrzyły na nas kobiety; psy szczekały na nas zjadle; czasem człowiek, który rąbał drzewo koło drzwi swoich, odwracał się i przeprowadzał nas wzrokiem... A myśmy szli, szli, zabłoceni po uszy. Na końcu wioski znowu okazywała się przed nami droga, ginąca gdzieś w oddali, szare chmury, ciągnące się po nad pustemi polami i kilku chudych kruków, szybko odlatujących z ponurym wrzaskiem.

Nic smutniejszego nad podobny widok, zwłaszcza jeżeli się pomyślało o tem, że zima się zbliża i że trzeba będzie wkrótce spać pod gołym niebem, na śniegu. To też nikt nie mówił ani słowa, z wyjątkiem Poitevina.

Był to stary żołnierz, żółty, pomarszczony, z policzkami zapadłymi, z nosem czerwonym i z długimi na łokieć wąsami. Mówiąc, używał zwrotów wyszukanych, które przeplatał wyrażeniami koszarowymi; a kiedy ulewa się zwiększała, wykrzykiwał z dziwacznym śmiechem:

— Tak... Poitevin... tak... nauczy cię to gwizdać!...

Stary ten pijak spostrzegłszy, że mam trochę grosza w kieszeni, trzymał się koło mnie, mówiąc:

— Młodzieńcze, jeżeli tornister ci przeszkadza, daj mi go.

Ale ja dziękowałem mu za usługę.

Chociaż przykrzyło mi się być w towarzystwie człowieka, który szukał tylko szyldów szynkowni, kiedyśmy przechodzili przez wioskę jaką i który wciąż mówił: — Przydałby się bardzo kieliszek mały na taki czas... — nie mogłem jednak się wstrzymać, by 'od czasu do czasu nie kupić mu kilku kropel; to też nie opuszczał mnie ani na krok.

Zbliżaliśmy się do Wurtzen, deszcz padał ulewny, a furyer po raz dwudziesty może zawołał:

— Tak! Poitevin..., oto życie... Nauczy cię to gwizdać!

— Co u licha za przysłowie macie, furyerze? — spytałem go. — Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem deszcz uczy was gwizdać!

— To nie przysłowie, młodzieńcze, jest to myśl, która mi przychodzi, kiedy mi wesoło.

A po chwili dodał:

— Trzeba wam wiedzieć, że w 1806 roku, kiedy pobierałem nauki w Rouen, zdarzyło mi się wygwizdać pewną sztukę teatralną, wraz z wielu innymi młodymi ludźmi. Jedni gwizdali, drudzy klaskali, stąd przyszło do bójki i policya wsadziła nas, w liczbie kilku tuzinów, do kozy. Cesarz, dowiedziawszy się o tem, rzekł:

— Jeżeli oni tak lubią bić się, to niech ich wezmą do wojska, a tam zadowolą swoje upodobania!

I naturalnie, że się tak stało. Nikt nie ośmielił się pisać, ani ojciec, ani matka nawet.

— To byliście rekrutem? — zapytałem.

— Nie, bo ojciec kupił mi zastępcę. Jest to żart cesarza... jeden z tych żartów, o których długo się pamięta. Dwudziestu czy trzydziestu z pomiędzy nas umarło z nędzy... A inni, zamiast poświęcić się jakiemu ucziwemu zawodowi u siebie, jako medycy, adwokaci, sędziowie, zostali starymi pijakami. Oto co się nazywa dobry żart!

I zaczął się śmiać, spoglądając na mnie z ukosa.

Zamyśliłem się i zanim przybyliśmy do Gauer-
Bitwa Narodów. T. II.

nitz, trzy razy jeszcze zapłaciłem za szklaneczki dla tego biedaka.

Około godziny piątej wieczór, zbliżając się do wioski Risa, spostrzeżliśmy na lewo stary młyn z drewnianym mostem, do którego prowadziła uboczna ścieżka. Dla skrócenia drogi, poszliśmy ową ścieżką i byliśmy już o jakie dwieście kroków od młyna, gdy nagle usłyszeliśmy ogromne krzyki. Jednocześnie dwie kobiety, jedna stara, a druga młodsza, przebiegły ogród, uprowadzając z sobą dzieci. Kierowały się do małego lasku przy drodze, na wzgórzu naprzeciw.

Prawie zaraz potem ujrzelśmy kilku żołnierzy naszych, wychodzących z młyna z workami; inni wychodzili z piwnicy, niosąc małe beczułki, które pośpiesznie wkładali na wózek, przy śluzie stojący; inni jeszcze uprowadzali z obory krowy i konie, podczas gdy przed drzwiami starzec jakiś wznosił ręce ku niebu, a pięciu czy sześciu tych łotrów otaczało bladego młynarza, któremu oczy na wierzch wychodziły.

Wszystko to: młyn, grobla, powybijane okna, uciekające kobiety, nasi żołnierze w czapkach swoich, wyglądający jak prawdziwi zbóje, starzec, przeklinający ich, krowy potrząsające łbami, by się uwolnić od tych, którzy je uprowadzali, podczas gdy inni rabusie kłuli je z tyłu bagnetami... wszystko dziś jeszcze żywo stoi przede mną...

Zdaje się, że patrzę na to!

— To — rzekł furyer Poitevin — to maroderzy... Niedaleko już jesteście od wojska.

— Ależ to nikiemne! — zawołałem oburzony. — To są rozbójnicy!

— Tak — odparł furyer — sprzeciwia się to karności. Gdyby cesarz dowiedział się o tem, rozstrzelanoby ich, jak psów.

Przeszliśmy wówczas most. Rabujący żołnierze przebili jedną z beczulek za wózkiem i tłoczyli się do niej z dzbankiem w ręku, pijąc po kolei. Widok ten oburzył furyera, który tonem majestatycznym zawołał:

— Jakiem prawem dopuszczacie się rabunku?

Kilku maroderów odwróciło głowę, a jeden widząc, że trzech nas jest tylko, bo inni poszli drogą, nie zatrzymując się, odpowiedział:

— Eh! stary figlarzu... domagasz się twojej części... to naturalne... Ale na to nie potrzebujesz srożyć węża. Masz, pij.

Podał mu dzban.

Furyer wziął dzban i spoglądając na mnie z boku, wypił.

— No, młodzieńcze — rzekł potem — spróbuj, jeżeli masz ochotę! Doskonałe jest to winko.

— Dziękuję — odpowiedziałem.

Kilku maroderów wołać zaczęło:

— W drogę! w drogę! Czas już!

Ale inni mówili :

— Nie, nie, czekajcie... Trzeba jeszcze się rozejrzeć!...

— Posłuchajcie — rzekł furyer dobrodusznie — przecież wiecie, że trzeba postępować łagodnie...

— Tak, tak, stary — odparł jeden z rabusiów, przypominający tamburmażora w wielkim stosowanym kapeluszu. — Tak — powtórzył uśmiechając się szyderczo i mrużąc oczy — bądź spokojny, oskubniemy kurę w należyтым porządku. Będzie się miało względy... będzie się miało względy!

Na to furyer nie odpowiedział nic; był jak gdyby zawstydzony moją obecnością.

— Cóż chcesz, młodzieńcze — rzekł przyśpieszając kroku dla połączenia się z towarzyszami — na wojnie jak na wojnie... Nie można przecie ginąć z głodu!

Sądzę, że byłby został, gdyby się nie obawiał, że mogą go ująć. Ja byłem smutny i mówiłem sobie:

— Otóż to pijacy! Mogą mieć dobre popędy, ale na widok dzbanka z winem, zapominają o wszystkim.

Nakoniec około dziesiątej wieczorem, spostrzeżliśmy ognie biwakowe na ciemnej pochyłości wzgórza, na prawo od wsi Gauernitz i starego zamku, w którym błyszczały jeszcze światełka. Dalej, na równinie, drżały inne ognie, w większej już ilości.

Noc była jasna. Wielkie deszcze spłukały niebo. Kiedyśmy się zbliżali, zawołano:

— Kto tam?

— Francya! — odpowiedział furyer.

Serce mi biło mocno na myśl, że za chwil kilka ujrzę starych moich kolegów, jeżeli żyli jeszcze.

Warta wyszła naprzeciw nas z pod pewnego rodzaju szopy, znajdującej się na pół strzału od wioski.

Naczelnik straży, stary, siwy zupełnie podporucznik, z ręką na temblaku pod płaszczem, spytał nas, skąd przychodzimy, gdzie idziemy, czy nie spotkaliśmy w drodze jakiego oddziału kozaków.

Furyer odpowiadał za nas wszystkich. Oficer oznajmił nam wówczas, że dywizya Souhama opuściła okolice Gauernitz tegoż rana i kazał nam iść za sobą, dla obejrzenia naszych pasportów.

W milczeniu poszliśmy za nim koło biwakowych ognisk, gdzie ludzie, pokryci zeschem błotem, spali gromadami: żaden z nich nie poruszył się.

Przybyliśmy do szopy.

Była to stara cegielnia; szeroki dach, w kształcie nakrywki do świecy, spoczywał na słupach wysokich na pięć lub sześć stóp. Z tyłu znajdowały się wielkie składy drzewa.

Dobrze tam było w tej szopie. Rozpalono ogień; zapach gliny rozchodził się dokoła. Przy ognisku mnóstwo żołnierzy spało snem szczęśliwych, opierając się plecami o ściany; płomień, odbijający się o czarne belki, oświecał ich. Przy słupach błyszczały karabiny, ustawione w kozły.

Zdaje mi się, że patrzę na to jeszcze; że czu-

ję ciepło, przenikające mnie; że widzę kolegów moich, których odzienie paruje pod wpływem ciepła i którzy poważnie czekają, aż oficer skończy przegląd ich pasportów przy czerwonym świetle ogniska.

Jeden tylko stary żołnierz, suchy i czarny, tu czuwał; siedział z podkurczonymi nogami i trzymał między kolanami swemi trzewik, który naprawiał szydłem i szpagatem.

Mnie pierwszemu oficer oddał papier, mówiąc:

— Połączysz się jutro z batalionem swoim o dwie mile stąd, pod Torgau.

Stary żołnierz, który patrzył na mnie, ręką wskazał mi wówczas koło siebie miejsce na ziemi. Usiadłem tam zaraz. Otworzyłem tornister, wdziałem czyste skarpetki i nowe trzewiki, które otrzymałem w Lipsku; to mi wielką ulgę sprawiło.

— Pójdiesz dalej? — zapytał żołnierz.

— Tak, do 6-go, pod Torgau.

— A przychodzisz?

— Ze szpitala z Lipska.

— Widać to; tłusty jesteś, jak baran. Karmiono cię tam kurczętami, podczas gdy myśmy marli z głodu.

Spojrzałem na uspionych sąsiadów i przekonałem się, że mówił prawdę. Biedni rekruci mieli tylko skórę i kości na sobie: z cerą żółtą, jakby łożnianą, pomarszczeni, jak starcy, zdawało się — że nie będą mogli utrzymać się na nogach.

Po chwili stary odezwał się:

— Byłeś ranny?

— Tak, pod Lutzen.

— Cztery miesiące szpitala — rzekł nadymając wargę — jakie szczęście! Ja przybywam z Hiszpanii. Sądziłem, że znajdziemy *kaiserlików* z r. 1807... baranów... prawdziwych baranów! Ale zrobili się oni teraz gorsi od gerylasów. Psuje się rzecz, psuje się!

Mówił tak z cicha do siebie, nie zwracając uwagi na mnie i zaciskając usta, ciągnął oba końce szpagatu, jak szewc. Od czasu do czasu mierzył trzewik, chcąc się przekonać, czy nie będzie go cisnął. Nakoniec włożył szydło do tornistra, trzewik nasunął na nogę i wyciągnął się na ziemi, opierając głowę na wiązce słomy.

Tak byłem zmęczony, że trudno mi przyszło zasnąć zaraz; w godzinę jednak potem zapadłem w sen głęboki.

Nazajutrz wyruszyłem znowu w drogę, wraz z furyerem Poitevinem i trzema innymi żołnierzami z dywizji Souhama.

Weszliśmy najprzód na drogę, która biegnie wzdłuż Elby. Czas był wilgotny, wiatr bryzgał pianą rzeki aż na drogę.

Szliśmy szybko od godziny może, kiedy nagle furyer szepnął:

— Baczność!

Zatrzymał się z nosem do góry, jak pies myśliwski, który coś wietrzy.

Słuchaliśmy wszyscy nic nie słysząc, z powo-

du szumu fal i wiatru, potrząsającego drzewami. Ale Poitevin miał wprawniejsze niż my ucho.

— Strzelają tam — rzekł, wskazując las na prawo. — Nieprzyjaciel może być z naszej strony; starajmy się nie wpaść na niego. Nie pozostaje nam nic lepszego do zrobienia, jak dostać się pod las i ostrożnie iść dalej. Na drugim końcu zobaczymy, co się dzieje... Jeżeli Rosyanie albo Prusacy są tam, wówczas cofniemy się tak, by nas nie spostrzegli. Jeżeli to Francuzi, w takim razie posuniemy się naprzód.

Każdy z nas uznał, że furyer ma słuszność, a ja w duszy podziwiałem ten spryt starego pijaka.

Zeszliśmy zatem z drogi do lasu, Poitevin na przodzie, a my z tyłu, z nabitą bronią.

Szliśmy powoli, zatrzymując się co kilka kroków i nad słuchując. Strzały zbliżały się, szły jeden za drugim, odbijając echem w parowach.

Furyer rzekł do nas:

— To tyraliery otaczający oddział kawaleryi, bo tamci nie odpowiadają.

Tak było w istocie. W dziesięć minut potem, spostrzegliśmy między drzewami batalion francuski, zajęty gotowaniem strawy między krzakami, a daleko, na szarej równinie, oddziały kozaków, defilujące z jednej wsi do drugiej. Tyralierzy, stojący wzdłuż, strzelali do nich od czasu do czasu, ale kozacy byli prawie po za obrębem ich strzałów.

— No, jesteś u siebie, młodzieńcze — rzekł do mnie Poitevin, uśmiechając się.

Musiał mieć dobre oko, kiedy mógł odczytać z takiej odległości numer pułku.

Co do mnie, napróżno patrzyłem, widziałem tylko ludzi obdartych i tak wynędzniałych, że wszyscy mieli nosy śpiczaste, oczy błyszczące, uszy wskutek zapadnięcia policzków odstające od głowy. Mundury ich o cztery razy za wielkie były na nich; wyglądały one, jak gdyby płaszcz, tyle w nich było fałd na ramionach i na biodrach. Nie mówię już o błocie. Słowem było to coś okropnego.

Tego dnia miałem się dowiedzieć, dlaczego Niemcy wydawali się tak weseli po naszym zwycięstwie pod Dreznem.

Skierowaliśmy kroki nasze ku dwóm małym namiotom, koło których trzy czy cztery konie skubały nędzną trawę. Tam ujrzałem pułkownika Lozaina, odosobnionego z trzecim batalionem na lewym brzegu Elby. Był to wysoki, chudy mężczyzna, z ciemnymi włosami i wcale niełagodną miną. Zmarszczywszy brwi, patrzył na nas, a kiedy podałem mu mój pasport, rzekł tylko:

— Ruszaj do swojej kompanii.

Oddaliłem się sądząc, że poznam przecie kogośkolwiek z 4-go pułku; ale od Lutzen kompanie zlały się z kompaniami, pułki z pułkami, a dywizye z dywizyami tak, że dostawszy się do wzgórza, na którem grenadyerzy obozowali, nie poznałem niko-

go. Ludzie, widząc mnie zbliżającego się, spoglądali z ukosa, jak gdyby mówiąc:

— Czy ten także chce dzielić się z nami bulionem? Chwilkę, jeżeli łaska! Zobaczymy najprzód, co on przynosi do kociołka.

Wstyd mi było dopominać się o miejsce w kompanii, kiedy kościsty jakiś weteran, z długim i haczykowatym nosem, jak dziób orła, z szerokimi plecami, na których wisiał zużyty mundur, podniósł głowę i przypatrując mi się, rzekł głosem zupełnie spokojnym:

— Patrzcie! to ty, Józefie? Sądziłem, żeś pod ziemią od czterech miesięcy!

Poznałem wówczas mego biednego Zébédého.

Zdaje się, że widok mój wzruszył go, bo nie wstając, ścisnął mnie za rękę i zawołał:

— Klipfelu!... Oto Józef!

Drugi żołnierz, siedzący przy sąsiednim kociołku, odwrócił głowę na to i rzekł:

— To ty, Józefie? Patrzcie! To nie zginąłś?

I oto całe powitanie, jakim mnie przyjęto.

Nędza uczyniła tych ludzi takimi egoistami, że myśleli już tylko o swojej skórze.

Pomimo to, Zébédé zachował poczciwą swą naturę; posadził mnie przy swoim kociołku, rzucając na towarzyszy jedno z owych spojrzeń, któremi umiał nakazywać poważanie dla siebie i ofiarował mi łyżkę swoją, którą miał zatkniętą za dziurkę od guzika munduru swego.

Ale podziękowałem mu; poprzedniego dnia bowiem, powodowany szczęśliwą myślą, zaszedłem do wędłarni w Riza i wpakowałem do tornistra tuzin kiszek, z dobrą kromką chleba i pełną flaszką wódki. Otworzyłem przeto tornister, wyjąłem z niego wianek kiszek i dwie z nich podałem Zébédému, na co oczy jego napełniły się łzami. Miałem zamiar poczęstować również kolegów; ale odgadując myśl moją, Zébédé położył mi rękę na ramieniu z miną znaczącą i rzekł:

— Co dobre jest do zjedzenia, to dobre i do schowania!

Poczem usunął się z koła i jedliśmy, popijając *schnaps*; drudzy nie mówili nic i spoglądali tylko z ukosa.

Klipfel, poczuwszy zapach czosnku, odwrócił głowę, wołając:

— Hej! Józefie, chodźże jeść do naszego kociołka. Cóż u licha, co koledzy to koledzy!

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Zébédé — u mnie kiszka to najlepszy kolega; zawsze się ją znajduje w potrzebie.

Potem sam zamknął mój tornister i rzekł:

— Schowaj to Józefie... Przeszło miesiąc nie jadłem nic tak dobrego. Nie stracisz na tem, bądź spokojny.

W pół godziny potem uderzono pobudkę; tyraliery zwinęły się, a sierżant Pinto, który był w ich liczbie, poznał mnie.

— A! — rzekł — uszedłeś cały! Bardzo rad jestem... Ale w złą przybywasz chwilę!... Zła wojna... zła wojna — dodał kiwając głową.

Pułkownik i oficerowie wsiedli na koń i wyruszono w drogę.

Kozacy cofnęli się. Nieśliśmy broń naszą, jak nam się podobało. Zébédé szedł przy mnie i opowiadał mi o tem, co zaszło po bitwie pod Lutzen. Najprzód wielkie zwycięstwo pod Bautzen i Wurtschen; forsowne marsze przy ściganiu cofającego się nieprzyjaciela; radość, jakiej doznawano, idąc na Berlin. Potem zawieszenie broni, podczas którego wojsko rozłożyło się po miasteczkach; następnie przybycie weteranów z Hiszpanii, ludzi strasznych, zaprawionych do rabunku, którzy uczyli młodych, jak mają obdzierać chłopca.

Na nieszczęście, pod koniec zawieszenia broni, wszyscy już byli przeciw nam; mieszkańcy niecierpieli nas; burzono mosty za nami, o najmniejszych ruchach naszych zawiadamiano Prusaków, Rosyan i innych, a jak tylko spotkało nas niepowodzenie, zamiast dopomóc nam, starano się wepchnąć w większą jeszcze biedę.

Na dobitek rozpoczęły się ulewy. W dzień bitwy dreźnieńskiej, taki deszcz lał, że kapelusz cesarza zwisał mu na oba ramiona.

Wszystko to śmiech wzbudza tylko, jeżeli człowiek ma za sobą zwycięstwo: bądźco bądź ciepło mu i w potrzebie znajdzie sobie odzież na zmianę. Ale najgorsza rzecz, kiedy jest zwyciężonym, kiedy ucie-

ka przez błoto, a huzary, dragoni i inni tego rodzaju ludzie ścigają go; kiedy ujrzawszy światło wśród nocy, nie wie sam, czy ma iść ku niemu, czy ginąć w potopie.

Zébédé opowiadał mi to wszystko szczegółowo. Powiedział mi, że po zwycięstwie pod Dreznem, generał Vandamme, który miał przeciąć odwrót Austryakom, uniesiony zapalem, wpadł od strony Kulmu w miejscowość taką, iż ci, których pobiliśmy dnia poprzedniego, uderzyli na niego z prawej i z lewej strony, z przodu i z tyłu; że go pojmano wraz z kilku innymi oficerami i zniesiono korpus jego do szczętu.

Dwa dni przedtem, 2 sierpnia, coś podobnego stało się z naszą dywizją, jako też z 5-tym, 6-tym i 11-tym korpusem, na wysokości Lowenbergu. Mieśliśmy znieść Prusaków z tej strony, ale wskutek niestosownego poruszenia marszałka Macdonalda, nieprzyjaciel zaskoczył nas w głębi parowu, kiedy dział ugrzęzły w błocie, kawalerya była w nieporządku, a piechota nie mogła strzelać z powodu ulewnego deszczu. Broniono się bagnietami. Prusacy zagnali 3-ci batalion aż do rzeki Katzbach. Tam Zébédé dostał od grenadyera dwa uderzenia kolbą w czoło. Prąd wody uniósł go, podczas gdy trzymał w pół kapitana Arnolda. Obydwaj byłiby zginęli, gdyby, na szczęście, kapitan nie chwycił się gałęzi drzewa, na drugim brzegu rosnącego i nie wydobył go z wody.

Opowiadał mi następnie, jak nazajutrz cała dywizya, wraz z innemi korpusami, szła przez pola samopas, nie mając żadnych rozkazów, bo generałowie, marszałkowie i wszyscy oficerowie, co mieli konie, zemknęli jak mogli najdalej, bojąc się, by ich nie pojmano.

Zapewniał mnie, że dosyć byłoby pięćdziesięciu huzarów, a pojmanoby ich wszystkich, jednych po drugich; ale na szczęście Blücher nie mógł przeprawić się przez rzeczkę, która wylała tak, że w końcu zeszli się wszyscy do Woldy i tam dobosze wszystkich pułków, stojąc na czterech rogach wioski, bębniłi marsze pułków swoich. W ten sposób każdy z żołnierzy odnalazł pułk swój, idąc na odgłos bębna.

Szczęśliwym trafem, po tej rozsypce, trochę dalej, w Buntzlau, znaleźli się także wyżsi oficerowie, zdziwieni mocno, że mają jeszcze bataliony do prowadzenia!

Oto, co mi opowiadał mój towarzysz, a nieomieszkał też nadmienić o nieufności, jaką wzbudzali sprzymierzeńcy nasi, którzy lada chwila mogli zwrócić się przeciwko nam i spaść nam na kark. Bo i tego się spodziewano. Mówił mi, że marszałek Oudinot i marszałek Ney byli także pobici, jeden pod Gros-Beeren, a drugi pod Dennewitz. Smutne to wszystko było bardzo, bo przy tych odwrotach, rekruci marli z wycieńczenia, z chorób i wszelkiego rodzaju utrapień. Starzy żołnierze z Hiszpanii i z Niemiec, zahartowani w ciężkich czasach, sami tylko byli w stanie znosić tak wielkie trudy.

Słowem, mówił mi Zébédé, wszystko jest przeciwko nam: kraj, ciągle deszcze i nasi własni generałowie, znudzeni już tem wszystkim. Jedni są hrabiami, książętami i przykrzy im się ciągle pluśkać się w błocie, zamiast zasiadać w dobrych fotelach; inni, jak Vandamme, za jednym zamachem chcą pośpiesznie zdobyć dla siebie tytuł **marszałka**. My zaś biedacy, którzy nie mamy nic do wygrania, chyba kalectwo na resztę życia, my, synowie chłopów i robotników, co walczyli o zniesienie szlachty, musimy teraz ginąć, aby wytworzyć drugą, nową „szlachtę!“

Przekonałem się wówczas, że najbiedniejsi, najniezszczęśliwsi, niezawsze są najgłupszymi i że przez cierpienie człowiek uczy się smutnej prawdy. Ale nie rzekłem nic i prosiłem Boga, by mi dał siłę i odwagę do zniesienia nieszczęść, jakie zapowiadały nam wszystkie te błędy i niesprawiedliwości.

Byliśmy wówczas między trzema armiami, które zamierzały połączyć się z sobą, by nas zgnieść odrazu: armią północną, którą dowodził Bernadotte, armią szląską, którą dowodził Blücher i armią czeską, którą dowodził Schwartzberg. Czasami, myślano, że mamy przeprawić się przez Elbę, wpaść na Prusaków i Szwedów; to znowu, że rzucimy się na Austryaków od strony gór, jakeśmy to robili tyle razy we Włoszech i gdzieindziej. Ale tamci zrozumieli nakoniec ruch ten i jak tylko zaczęliśmy się zbliżać ku nim, oni cofali się dalej. Nie dowierzali szczególnie cesarzowi, który nie mógł być jedno-

częśnie w Czechach i na Szląsku, i to było powodem ciężkich marszów i kontrmarszów.

Żołnierze pragnęli już tylko bić się, bo chodząc i śpiąc wciąż w błocie, mając tylko połowę racyi, toczeni przez robactwo, obrzydzili sobie zupełnie życie. Każdy myślał:

— Niech się to już raz skończy tak lub owak... To już nadto... nie może trwać tak dłużej!

Ja sam, po kilku dniach, sprzykrzyłem sobie podobne życie; nie czułem już nóg i w oczach chudłem.

Co wieczór trzeba było stać na warcie, z powodu pewnego łotra, zwanego Thielmann, który podburzał chłopów przeciwko nam; chodził za nami, jak cień i czatował na nas od wioski do wioski, na wzgórzach, po drogach, w dolinach; wojsko jego stanowili ci wszyscy, którzy nas nienawidzili; to też zawsze miał dużo ludzi.

Okolo tego czasu, również Bawarczycy, Badeńczycy i Württenberczycy oświadczyli się przeciwko nam, tak, że całą Europę mieliśmy na karku.

Nakoniec na pociechę naszą spostrzegliśmy, że wojsko zaczyna się skupiać jakby do wielkiej bitwy; zamiast kozaków Płatowa i stroników Thielmanna, spotykaliśmy w okolicach wioski huzarów, strzelców, dragonów hiszpańskich, artyleryę, materiały potrzebne do stawiania mostów w pochodzie. Deszcz lał, jak z cebra, ci, którzy nie mieli już sił wlec się dalej, siadali w błocie pod drzewem i zdawali się na los szczęścia.

Dnia 11 października biwakowaliśmy przy wiosce Lousig; 12-go przy Grafenheinichen; 13-go przeprowiliśmy się przez Muldę i widzieliśmy, jak stara gwardya z La Tour-Maubourgiem defilowała przez most. Zapowiadano przejazd cesarza, ale my poszliśmy z dywizją Dąbrowskiego i korpusem Souhama.

W chwilach, kiedy deszcz ustawał i kiedy promień jesiennego słońca przedzierał się między chmurami, widać było całą armię w pochodzie: kawalerya i piechota ze wszystkich stron dążyła do Lipska. Po drugiej stronie Muldy, świeciły się także bagnety Prusaków. Ale nie widać było jeszcze Austryaków i Rosyan; musieli iść inną drogą.

Dnia 14-go, batalion nasz raz jeszcze oddzielił się, wysłany na rekonesans do miasta Aaken; nieprzyjaciel tam się znajdował; przyjął nas strzałem z dział i całą noc spędziliśmy na dworze, nie mogąc zapalić ani jednego ognia z powodu deszczu. Nazajutrz odeszliśmy stamtąd, by forsownym marszem połączyć się z dywizją. Nie wiem dlaczego każdy mówił:

— Bitwa się zbliża!... bitwa się zbliża!

Sierżant Pinto utrzymywał, że czuć było cesarza w powietrzu. Ja nic nie czułem, ale widziałem, żeśmy szli na Lipsk i myślałem:

— Jeżeli będziemy mieli bitwę, żeby tylko nie spotkało cię nieszczęście, jak pod Lutzen i żebyś mógł jeszcze zobaczyć się z Katarzyną.

Następnej nocy wypogodziło się nieco, miliardy gwiazd oświecały niebo, a my szliśmy wciąż. Nazajutrz, około godziny dziesiątej, przy małej wioseczce, której nazwy nie pamiętam, zawołano właśnie: — Stój! — dla wytechnięcia, gdy naraz uszliśmy jak gdyby głuchy szmer w powietrzu. Pułkownik, który był jeszcze na koniu, przysłuchiwał się temu, a sierżant Pinto rzekł:

— Bitwa się rozpoczęła.

W tej chwili pułkownik, wznosząc szpadę do góry, zawołał:

— Naprzód!

Zaczęliśmy biedz: tornistry, ładownice, karabiny, błoto — wszystko skakało; nie zważano na nic. W pół godziny potem spostrzegliśmy, o parę tysięcy kroków przed batalionem, ogon kolumny, któremu nie było końca: jaszczyki, działa, piechota, kawaleria; za nami, drogą do Duben, przybywało wojsko także, a wszystko to galopem!. Nawet przez pola całe pułki biegly.

Na samym końcu drogi, widać było dzwonicie Ś-go Mikołaja i Ś-go Tomasza w Lipsku, sięgające nieba, na prawo zaś i na lewo, z obu stron miasta, podnosiły się obłoki dymu, przerywane błyskawicami. Szum zwiększał się coraz bardziej; o milę jeszcze byliśmy od miasta, a trzeba było mówić głośno; bladzi, spoglądaliśmy na siebie, jak gdyby wyrażając oczyma:

— Oto, co się zowie bitwa!

Sierżant Pinto krzyczał:

— To gorzej, jak pod Eylau!

Nie śmiał się ani on, ani Zébédé, ani ja, ani inni; biegliśmy wciąż, a oficerowie ciągle powtarzali:

— Naprzód! naprzód!

Oto, jak ludzie tracą głowy; była w nas miłość Ojczyzny, ale silniejszy od niej był szal bitwy...

Okolo godziny jedenastej, spostrzegliśmy pole bitwy, na milę przed Lipskiem. Widzieliśmy także dzwonicie miasta pokryte ludźmi i stare wały, po których tyle razy przechadzałem się niegdyś, myśląc o Katarzynie.

Naprzeciw nas, o 1200 albo 1500 metrów, stały uszykowane dwa pułki czerwonych ułanów, a trochę na lewo, dwa lub trzy pułki konnych strzelców, na łąkach Parthy.

Między temi pułkami defilowały konwoje, przybywające z Duben. Dalej, wzdłuż małej pochyłości, eszelonami stały dywizye Ricarda, Dąbrowskiego, Souhama i kilku innych jeszcze. Były one tyłem odwrócone do miasta. Działa zaprzężone i jaszczyki, kanonierzy i żołnierze służby działowej na koniach, stali gotowi do wyruszenia. Wreszcie, na samym tyle, na wzgórzu, przy jednym z owych folwarków o dachu płaskim i wielkich szopach, jakie się tutaj spotyka, błyszcząły mundury sztabu.

Była to rezerwa, pod dowództwem marszałka Neya; lewe jego skrzydło znajdowało się w komunikacji z Marmontem, stojącym na drodze do Hall,

a prawe skrzydło łączyło się z Wielką Armią, którą cesarz dowodził osobiście.

W taki sposób wojska nasze tworzyły jak gdyby wielką obręcz dokoła Lipska, a nieprzyjaciele, przybywający ze wszystkich stron naraz, usiłowali połączyć się z sobą tak, by utworzyć jeszcze większą obręcz dokoła nas samych i zamknąć nas, jak w pułapce na myszy.

Tymczasem trzy straszne bitwy toczyły się jednocześnie: jedna z Austryakami i Rosyanami pod Wachau; druga z Prusakami, pod Mockern, na drodze do Hall; a trzecia na drodze do Lutzen; tu broniono mostu Lindenau, na który uderzał generał Giulay.

O wszystkim tem dowiedziałem się dopiero później; ale każdy powinien opowiadać to, co sam widział; w ten tylko sposób świat dowie się prawdy.

VI.

Batalion zaczął spuszczać się po pochyłości na przeciw Lipska, w celu połączenia się z dywizją naszą, gdy spostrzegliśmy oficera sztabowego, który łąką, poniżej będącą, pędził ku nam co koń wyskoczy. W dwie minuty był przy nas, pułkownik Lozain wyjechał na jego spotkanie; zamienili z sobą słów kilka, potem oficer odjechał. Setki innych oficerów pędziło tak po równinie, roznosząc rozkazy.

— Szeregiem na prawo! — krzyknął pułkownik.

Skierowaliśmy się w stronę lasu, z tyłu położonego, który na pół mili prawie ciągnie się wzdłuż drogi do Duben.

Był to las bukowy, ale były w nim także brzozy i dęby.

Jak tylko stanęliśmy na brzegu lasu, kazano nam podsypać na panewkę prochu i batalion roz-

proszył się po lesie w tyralierkę. Ustawieni eszelonami, o dwadzieścia pięć kroków jeden od drugiego, posuwaliśmy się ostrożnie, co można sobie łatwo wyobrazić. Sierżant Pinto mówił co chwile:

— Chowajcie się za drzewa!

Ale nie potrzebował przestrzegać nas tak bardzo, każdy z nas nadstawiał ucha i śpiesznie dążył do wielkiego drzewa, z po za którego dopiero do brze się rozglądał, zanim się odważył iść dalej.

Na co to jednak ludzie spokojni narażeni są nieraz w życiu!

Szliśmy tak z dziesięć minut, a że nic widać nie było, ufność zaczynała w nas wstępować. Naraz rozległ się strzał jeden... potem drugi, potem dwa, trzy, sześć, — ze wszystkich stron i w tej chwili spostrzegam, jak kolega mój z lewej strony pada, starając się utrzymać drzewa. To mnie wytrzymał...
żwia...

Patrzę w drugą stronę i cóż spostrzegam o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków? Starego żołnierza pruskiego, w błyszczącym kaszkiecie, z łokciem zgiętym i rudymi wielkimi włosami, którymi dotyka zamku karabina swego: — przymrużywszy oko, celował do mnie. Natychmiast osuwam się na ziemię. W tej chwili słyszę strzał i coś trzaska mi na głowie.

Miałem ładownicę do prochu, szczotkę, grzebień i chustkę w kaszkiecie: kula tego łotra strzaskała mi to wszystko. Zimny dreszcz mnie przeszedł.

— No, szczęśliwie ci się udało tym razem! — zawołał sierżant, zaczynając biedz.

Ja pobiegłem za nim, bom wcale nie życzył sobie pozostać w takim miejscu.

Porucznik Bretonville, trzymając szablę pod pachą, powtarzał:

— Naprzód! naprzód!...

Dalej na prawo strzelano nieustannie.

Aż oto wyszliśmy nad brzeg łączki, gdzie leżało pięć czy sześć wielkich pni dębowych, lecz nie było ani jednego drzewa stojącego, za którym można by się było ukryć. Pomimo to, kilku z naszych śmiało posuwało się już naprzód, gdy sierżant odezwał się:

— Stój!... Prusacy są tu z pewnością gdzieś zaczajeni... Bacność!

Zaledwie to powiedział, kiedy z dziesiątek kul świsnęło między gałęzmi i rozległ się krzyk; jednocześnie ujrzelśmy gromadę Prusaków, którzy śpiesznie pomknęli dalej w gęstwinę.

— Otóż i odeszli. Teraz w drogę! — rzekł Pinto.

Ale strzał, który dostał się memu kaszkietowi, uczynił mnie bardzo ostrożnym; widziałem niejako nawskroś drzew. Kiedy sierżant chciał już przechodzić łąkę, zatrzymałem go za rękę, pokazując mu koniec lufy, wystającej z wysokiego krzewu, po drugiej stronie bagna, o sto kroków przed nami.

Koledzy, zbliżywszy się, spostrzegli również zasadzkę. Sierżant szepnął:

— Ty, Berthe, zostań tutaj i nie trać go z oka... My zaś, obejdziemy dokoła.

I zaraz rozeszli się na prawo i lewo, a ja, z kolbą przy ramieniu, za drzewem, czekałem, jak strzelec na czatach.

Po trzech minutach, Prusak, nie słysząc już nic, cicho podniósł się.

Był młody, miał małe, jasne wąsiki i wysmukłą figurę, mocno ściśniętą w pasie.

Mógłbym strzelić do niego, ale drżałem cały na myśl zabicia człowieka tak odstoniętego.

Nagle on spostrzegł mnie i skoczył na bok; wówczas strzeliłem, ale z głębi serca odetchnąłem, kiedym go ujrzał, zmykającego wśród gęstwiny.

Jednocześnie kilka strzałów padło z lewej i z prawej strony; sierżant Pinto, Zébédé Klipfel i inni pędem przebiegli mimo i o sto kroków dalej znaleźliśmy tego młodego Prusaka na ziemi, z ustami pełnymi krwi. Patrzył na nas wzrokiem przerażonym, podnosząc rękę, jak gdyby zaśnaniając się przed bagnietami. Sierżant Pinto odezwał się do niego:

— Nie bój się niczego, rachunek twój skończony!

Nikt nie miał ochoty dobić go; Klipfel tylko wyciągnął ładną fajkę, która wystawała z tylnej kieszeni jego munduru i rzekł:

— Oddawna pragnąłem mieć taką fajkę i oto jest nareszcie!

— Strzelcze Klipfel — zawołał Pinto ze szczerem oburzeniem — włóżcie zaraz tę fajkę tam, skądście ją wyjęli! Niech sobie inni obdzierają ranych; żołnierzowi francuskiemu honor na to nie pozwala!

Klipfel rzucił fajkę i odeszliśmy stamtąd, nie odwracając głowy.

Doszliśmy do końca lasu, który zajmował trzy czwarte pochyłości; krzaki dosyć gęste ciągnęły się jeszcze ze dwieście kroków, do samej góry. Prusacy, których ścigaliśmy, tam się ukryli. Widzieliliśmy ich, jak się podnieśli, by wystrzelić do nas, a potem znowu się schylili.

Mogliśmy pozostać tam spokojnie; ponieważ kazano nam zająć tylko las, krzaki zatem nie do nas należały; strzały Prusaków nie mogły nas dotrzeć za drzewami.

Z drugiej strony wzgórza dochodził nas odgłos strasznej bitwy. Strzały armatnie huczały jedne po drugich, a czasami grzmiały razem, jak burza; tembardziej należało nam tam pozostać.

Ale oficerowie nasi, naradziwszy się między sobą, zadecydowali, że krzaki należą do lasu i że trzeba wypędzić Prusaków aż na wzgórze. Stało się to przyczyną śmierci dla wielu z nas w tem miejscu.

Otrzymaliśmy zatem rozkaz wypędzenia z krzaków tyralierów nieprzyjacielskich, a że w miarę tego, jak zbliżaliśmy się ku nim, oni strzelali do nas, potem zaś znów się chowali, przeto zaczęli-

śmy biedz ku nim, by nie dać im czasu do nabijania broni.

Nasi oficerowie, pełni zapału, biegli także. Sądziłyśmy, że na wierzchołku wzgórze krzaki się skończą i że wówczas będziemy mogli strzelać do Prusaków, jak do kaczek. Ale w chwili, kiedy zadyszani docieraliśmy do wierzchołka, stary Pinto wykrzyknął:

— Huzary!

Podnoszę głowę i widzę kołpaki, piętrzące się jeden nad drugim, jak się zdawało, coraz wyżej: pędzili na nas, jak wiatr.

Skoro to spostrzegłem, nie namyślając się ani sekundy, odwróciłem się i zacząłem biedz na dół, skacząc po piętnaście stóp na raz, pomimo tornistra, pomimo wszystkiego. Przede mną sierżant Pinto, Zébédé i inni biegli i skakali, jak mogli.

Z tyłu huzary pędzili w masie z takim trzaskiem, że aż mrowie przechodziło: oficerowie ich komenderowali po niemiecku, konie sapały, pochwy od pałaszy dzwoniły, uderzając o buty i ostrogi, ziemia huczała i trzęsła się!

Najkrótszą drogą dążyłem do lasu; zdawało mi się, że już w nim jestem, kiedy na samym jego brzegu trafiłem na jeden z tych wielkich dołów, z których chłopcy wydobywają glinę do swych budowli. Był on szeroki na dwadzieścia stóp z górą, a długi na czterdzieści lub pięćdziesiąt; brzegi były bardzo ślizkie z powodu deszczów, które padały od dni kilku; ponieważ jednak coraz bliżej słyszałem

sapanie koni, tak, że aż mi włosy na głowie powstały, nie zważając więc na nic, rozpedziłem się i chcąc przesadzić tę przeszkodę wpadłem do dziury, a ładownica i mundur podniosły się przytem wyżej głowy prawie; drugi strzelec z mojej kompanii był tam także, ale podniósł się już; on również chciał ten dół przeskoczyć.

W tej chwili dwaj huzary w całym pędzie pomknęli konno wzdłuż tej ślizkiej pochyłości. Pierwszy z nich, z twarzą czerwoną, wymierzył najprzód cios szabłą swą w ucho mego biednego kolegi, klnąc przytem, jak opętany; kiedy podnosił ramię, aby go dobić, pchnąłem go z całych sił bagnetem moim w bok. Ale jednocześnie drugi huzar ciął mię w łopatkę tak silnie, że byłby mnie rozplatał na dwoje, gdyby nie naramiennik munduru; byłby mię przebił drugim ciosem, na szczęście strzał, który padł z góry, roztrzaskał mu głowę. Obejrzałem się i spostrzegłem jednego z żołnierzy naszych, ugrzęzłego w glinie po kostki. Usłyszał rzenie koni i klątwy huzarów, więc zbliżył się do dołu, chcąc zobaczyć, co się tam działo.

— A co kolego — rzekł śmiejąc się — czas był!...

Nie miałem siły odpowiedzieć mu; drżałem, jak liść.

On zdjął swój bagnet i wyciągnął do mnie koniec karabinu, by mi pomódz wydobyć się z dołu. Ująłem wówczas rękę tego żołnierza i rzekłem:

— Uratowałeś mię!... Jak się nazywasz?

Powiedział, że nosi imiona Jan-Piotr-Wincenty.

Nieraz później myślałem sobie, że byłbym szczęśliwy, gdybym spotkałszy tego człowieka, mógł mu oddać usługę jaką; ale na trzeci dzień potem odbyła się druga bitwa pod Lipskiem, następnie odwrót z pod Hanau i nigdy już więcej go nie spotkałem.

Sierżant Pinto i Zébédé nadeszli w chwili potem.

Zébédé rzekł do mnie:

— Tym razem znów nam się poszczęściło, Józefie; teraz już my dwaj tylko z phalsburczyków pozostaliśmy w batalionie... Klipfela porabali huzary!

— Widziałeś to? — zapytałem zbladłszy.

— Tak. Otrzymał ze dwadzieścia cię szablą; wołał: „Zébédé! Zébédé!“

Po chwili dodał:

— Straszna to rzecz jednak słyszeć, jak cię stary towarzysz dzieciństwa woła na ratunek i nie móżd mu dopomóżd... Ale było ich za wiele... Otoczyli go ze wszystkich stron!

To nas w głęboki smutek pogrążyło, myśli nasze mimowoli zwróciły się do rodzinnego kraju. Wyobrażałem sobie rozpacz sędziwej babki Klipfela, kiedy dowie się o śmierci wnuka i jednocześnie stanęła mi przed oczyma Katarzyna...

Od szarży huzarów, aż do nocy, batalion stał w tej samej pozycji, ostrzeliwując tyralierką Pru-

saków. Nie pozwalaliśmy im zająć lasu, oni nie puszczali nas na wzgórze. Dopiero nazajutrz dowiedzieliśmy się dlaczego.

Wzgórze to panuje nad całą doliną Parthy. Wielką kanonadę, którąśmy słyszeli, prowadziła dywizya Dąbrowskiego. Atakował on lewe skrzydło armii pruskiej i chciał iść na pomoc generałowi Marmont w Mockern: tam dwadzieścia tysięcy Francuzów, umieszczonych koło parowu, zatrzymywało ośmdziesiąt tysięcy ludzi Blüchera; a od strony Wachau, do piętnastu tysięcy Francuzów toczyło bitwę z dwustu tysiącami Austryaków i Rosyan.

Tysiąc pięćset z górą dział grzmiało. Nasza pukanina na pochyłości Witterich była niby brzęczeniem pszczoły wśród burzy, w porównaniu z tą straszną kanonadą. Chwilami obie strony przestały strzelać i znów potem rozpoczynały prażyć się wzajem.

Przysłuchując się temu hukowi, zdawało mi się, że moce nadprzyrodzone toczą z sobą walkę; powietrze było przepełnione prochowym dymem, ziemia trzęsła się pod naszymi stopami; starzy żołnierze, jak Pinto, utrzymywali, że nigdy jeszcze nic podobnego nie słyszeli.

Około godziny szóstej, oficer sztabowy przywiózł rozkaz pułkownikowi Lovain i prawie zaraz dano znak odwrotu. Batalion stracił sześćdziesięciu ludzi, wskutek szarży huzarów pruskich i ognia pruskiej piechoty.

Noc już była, kiedy wyszliśmy z lasu i nad

brzegiem Parthy, — wśród jaszczków, konwojów rozmaitego rodzaju, cofających się korpusów, oddziałów, wozów z rannymi, a wszystko to przeprawiało się dwoma tylko mostami, — musieliśmy czekać ze dwie godziny przynajmniej, zanim kolej nasza nadeszła.

Niebo było zupełnie czarne, od czasu do czasu odzywały się jeszcze działa; ale trzy bitwy były skończone.

Powiadano wprawdzie, że pobiliśmy Austryaków i Rosyan pod Wachau, po drugiej stronie Lipska; ale ci, co wracali z pod Mockern, wyglądali ponuro, nikt nie krzychał: — Niech żyje cesarz! — jak to zwykle bywało po zwycięstwie.

Przeprawiwszy się na drugi brzeg, batalion szedł z biegiem rzeki dobre pół godziny, aż do wioski Schoenfeld; noc była wilgotna, szliśmy krokiem ciężkim, z karabinem na ramieniu, z głową pochyloną i oczami, klejącymi się gwałtem do snu.

Za nami działa, jaszczki, bagaże i wojsko w odwrocie z pod Mockern ciągnęło z głuchym hukiem; chwilami krzyki żołnierzy przy działach i artylerzystów, wołających o ustąpienie z drogi, przebijały się przez tę wrzawę. Ale odgłosy te cichły stopniowo. Stanęliśmy nakoniec przed cmentarzem, gdzie kazano nam rozejść się z szeregów i złożyć broń w kozły.

Wtenczas dopiero podniosłem głowę i przy świetle księżyca, poznałem Schoenfeld. Ileż razy jadłem tu kiedyś dobre rybki smażone i popijałem białe wino z Zimmerem, w małym szynku „pod

Złotym Snopem“, w altance ojca Wintera, podczas gdy słońce ogrzewało powietrze i dokoła nas wszystko się zieleniło!... Minęły te czasy!

Rozstawiono warty; kilku ludzi udało się do wsi po drzewo i żywność. Ja siadłem koło muru cmentarza i usnąłem. Około trzeciej rano zbudowano mię.

— Józefie — mówił do mnie Zébédé — chodźże ogrzać się; dostaniesz gorączki, jeżeli będziesz tu siedział.

Wstałem, jak pijany, ze znużenia i bólu. Mały deszczyk mżył w powietrzu. Towarzysz mój pociągnął mnie do ogniska, które tliło się na deszczu. Ogień ten był tylko dla oka, bo nie dawał wcale ciepła; ale Zébédé dał mi się napić wódki i zrobiło mi się mniej zimno. Patrzyłem na biwakowe ognie, błyszczące po drugiej stronie Parthy.

— Prusacy grzeją się — rzekł Zébédé — w naszym są teraz lesie.

— Tak — odpowiedziałem — i biedny Klipfel tam także; nie zimno mu już teraz!

Dzwoniłem zębami.

Wspomnienie to napełniło nas smutkiem. W kilka chwil potem, Zébédé zapytał mię:

— Czy pamiętasz, Józefie, tę czarną wstążkę, którą on miał przy swoim kapeluszu w dzień popisu? Krzychał wówczas: — Wszyscy jesteśmy skazani na śmierć, jak tameci w Rosyi... Dajcie mi czarną wstążkę... trzeba nosić żałobę swoją! — A mały brat jego mówił: — Nie, Jakubie, ja nie

chę! — i płakał. Pomimo to Klipfel włożył czarną wstążkę: widział może we śnie huzarów!

W miarę tego, jak Zébédé mówił, przypomniałem sobie to wszystko i widziałem także owego łotra Pinakla, na placu ratuszowym, jak wołał do mnie, powiewając czarną wstążką nad głową swoją: — Hej! kulawy, potrzeba ci czarnej wstążki... wstążki tych, którzy wygrywają.... Chodź! — Śmiał się przytem, jak szatan.

Myśl ta, wraz z strasznym chłodem, który przenikał do szpiku kości, przejmowała mnie dreszczem... Myślałem sobie:

— Nie wrócisz... Pinakl miał słusność... Wszystko się skończyło!

Myślałem o Katarzynie, o ciotce Grédel, o dobrym panu Gulden i przeklinałem tych, którzy mnie zmusili iść tutaj.

Około godziny czwartej rano, kiedy dzień zaczął już świtać na niebie, przyszło kilka wozów z żywnością; rozdano nam chleb, dostaliśmy także wódkę i mięso.

Deszcz ustał.

Ugotowaliśmy zupę. Ale nic nie mogło mnie rozgrzać, dostałem gorączki. Zimno mi było wewnątrz, a ciało paliło.

Nie ja sam tylko w batalionie byłem w takim stanie, — trzy czwarte żołnierzy cierpiało tak i ginęło; od miesiąca już ci, co nie mogli iść dalej, kładli się na ziemi płacząc i jak małe dzieci, wzywali matek swych. Serce pękało na ten widok...

Głód, forsowne pochody, deszcz i to gnębiące przekonanie, że nie ujrzy się już więcej ani kraju własnego, ani tych, których się kocha, były przyczyną tej choroby. Na szczęście, rodzice nie wiedzą, jak dzieci ich giną po drogach; byłoby to nadto straszne, gdyby mogli widzieć: wielu ludzi powzięłoby przekonanie, że niema miłosierdzia ani w niebie, ani na ziemi.

W miarę tego, jak się rozjaśniało, spostrzegaliśmy na lewo, — po drugiej stronie rzeki i wielkiego parowu, porośłego wierzbą i osiczyną — spalone wioski, stopy poległych, jaszczyki i działa porzucone i ziemię porytą daleko, jak okiem sięgnąć, na traktach Hall, Lindenthal i Dolitzch; tu było gorzej niż pod Lutzen.

Widzieliśmy także Prusaków, jak rozwijali się w tym kierunku i masami posuwali się na pola bitwy. Mieli połączyć się z Austryakami i Rosyanami i utworzyć ogromny pierścień dokoła nas; nikt już teraz nie mógł przeszkodzić temu, tembardziej że Bernadotte i rosyjski generał Beningsen, którzy pozostali w tyle, dążyli ze stu dwudziestu tysiącami świeżego żołnierza.

Tak więc, armia nasza, stoczywszy w dniu jednym trzy bitwy i zmniejszona do stu trzydziestu tysięcy, miała być opasana pierścieniem trzechset tysięcy bagnatów, nie licząc pięćdziesięciu tysięcy koni i tysiąca dwustu dział!

Batalion wyruszył z Schoenfeldu dla połączenia
Bitwa Narodów. T. II.

nia się z dywizją pod Kohlgarten. Na całej drodze widać było ciągnące powoli konwoje z rannymi; wszystkie wozy z okolicy zabrano na ten cel, a między wozami szły jeszcze setki nieszczęśliwych, z ręką na temblaku, z twarzą obwiązaną, białych, przygnębionych, nawpół żywych. Wszyscy którzy mogli wlec się jeszcze, nie siadali na wozy, ale pieszo starali się dostać do szpitala.

Z największą trudnością przerwaliśmy się przez te tłumy, gdy nagle, niedaleko Kohlgarten, kilkudziesięciu huzarów, pędząc co koń wyskoczy z podniesionymi pistoletami, rozpędzało tłumy na prawo i lewo, spychając je na pola. Donośnym głosem wołali:

— Cesarz! Cesarz!

Batalion uszykował się natychmiast poniżej drogi, prezentując broń, a w kilka chwil potem konni grenadyerzy gwardyi, — prawdziwe olbrzymy, w wielkich butach swoich i ogromnych kosmatych czapach, spadających aż na plecy, tak, że z pod nich widać było tylko uszy, oczy i wąsy żołnierzy, przelecieli galopem, przyciskając rękojeść szabli do biodra. Każdy z nas pomyślał sobie:

— Ci przynajmniej są z nami... Dzielne to zuchy!

Ledwie oni przejechali, ukazał się sztab główny.

Wyobraźmy sobie stu pięćdziesięciu do dwustu generałów, marszałków, wyższych ordynansowych oficerów, — którzy siedzieli, jak gdyby na jeleniach

i tak byli pokryci haftem ze złota, że ledwie było widać barwę ich mundurów. Jedni wysokiego wzrostu, szczupli, z miną dumną; drudzy przysadkowaci, z twarzą czerwoną; inni jeszcze młodzi, trzymający się na koniu prosto, jak posągi, z oczyma błyszczącymi i wielkim nosem w kształcie dzioba orlego.

Straszne to było a zarazem wspaniałe!

Ale wśród tych wszystkich wodzów, którzy od dwudziestu lat trzęśli Europą, największe wrażenie zrobił na mnie Napoleon w starym swoim kapeluszu i szarym surducie. Mam go jeszcze przed oczyma memi, z szerokim jego podbródkiem i głową, wciśniętą między łopatki. Wszyscy krzyczeli:

— Niech żyje cesarz!

Ale on nic nie słyszał... niewiele uwagi zwracał na nas, jak na ten drobnutki deszczyk, co mżył w powietrzu... Patrzył, ze zmarszczonymi brwiami, na armię pruską, która rozciągała się wzdłuż Parthy, dla połączenia się z Austryakami. Takim go widziałem dnia tego, takim utkwiał mi w pamięci.

Batalion szedł już znowu od kwadransa, kiedy Zébédé rzekł do mnie:

— Widziałeś go, Józefie?

— Tak — odpowiedziałem — widziałem go dobrze i będę go pamiętał całe moje życie.

— To dziwne — mówił towarzysz — możnaby sądzić, że jest niezadowolony... Pod Wurtschen, nazajutrz po bitwie, zdawał się być tak wesoły, słysząc, jakieśmy wołali: — Niech żyje cesarz! — Je-

nerałowie także mieli twarze śmiejące się... Dzisiaj wszyscy skrzywieni... A jednak kapitan mówił dzisiaj rano, że odnieśliśmy zwycięstwo po drugiej stronie Lipska.

Wielu innych myślało to samo, chociaż nie mówili; niepokój zaczynał opanowywać wszystkich...

Zastaliśmy pułk na biwakach, na dwa strzały karabinowe od Kohlgarten. Batalion stanął na prawo od drogi, na wzgórzu.

We wszystkich kierunkach widać było niezliczone ognie wojska, wysyłające słupy dymu w górę. Drobny deszczyk wciąż padał i ludzie, siedzący na tornistrach naprzeciw małych ognisk, z rękami skrzyżowanymi, zdawali się być mocno zadumani.

Oficerowie łączyli się w gromady.

Ze wszystkich stron powtarzano, że nikt jeszcze nie widział podobnej wojny... że wojna ta przyniesie nam zagładę... że nieprzyjaciel nie troszczył się wcale o to, iż był pobity, a chciał tylko wytracić nam jak najwięcej ludzi, wiedząc dobrze, że zostanie mu ich zawsze cztery lub pięć razy więcej niż nam i że on nareszcie będzie zwycięzcą.

Mówiono także, iż chociaż cesarz wygrał bitwę pod Wachau z Austryakami i Rosyanami, ale to jeszcze nie koniec, ponieważ tamci nie odchodzili, lecz czekali na wielkie posiłki. O tem, żeśmy przegrali pod Mockern, pomimo dzielnej obrony Marmonta, już było wiadomem; nieprzyjaciel zgniół nas liczbą.

Jedną tylko korzyść odnieśliśmy dnia tego, a mianowicie, żeśmy trzymali się przy naszym punkcie odwrotowym na Erfurt; Giulay bowiem nie zdołał opanować mostów na Elsterze i Pleissie.

Całe wojsko, od prostego żołnierza do marszałka, myślało, że należy się jak najspieszniej cofnąć i że położenie nasze jest bardzo złe; na nie szczęście, cesarz myślał inaczej: trzeba więc było zostać!

Przez cały ten dzień 17-ty października, staliśmy na miejscu, nie dawszy ani jednego strzału. Niektórzy mówili o przybyciu generała Reyniera z szesnastu tysiącami Sasów; ale zdrada Bawarczyków nauczyła nas, jaką ufność możemy pokładać w naszych sprzymierzeńcach.

Nad wieczorem rozeszła się wieść, że na równinie Breitenfeld ukazała się armia północna: sześćdziesiąt tysięcy ludzi przybywało nieprzyjacielowi. Zdaje mi się, że słyszę przekleństwa, jakie rzucono wówczas na Bernadottea, krzyki oburzenia tych, którzy go znali prostym oficerem za czasów rzezypospolitej. Mówili oni:

— Wszystko nam zawdzięcza... Własną krwią naszą zrobiliśmy go królem... a teraz przychodzi dobić nas!

W nocy armia nasza ogólnym ruchem w tył się cofnęła, przysunęła się do Lipska i ciasniejszem jeszcze kołem opasała go; potem wszystko znów się uspokoiło. Ale to nie przeszkadzało nam rozmyślać; każdy w skrytości dumiał:

— Co się stanie jutro? Czy o tej godzinie będę widział jeszcze, jak teraz, księżyc między chmurami? Czy gwiazdy będą jeszcze dla oczu moich błyszczaly?

I patrząc w noc ciemną na to wielkie koło ogniste, które nas opasywało na przestrzeni sześciu mil prawie, mówiono sobie:

— Teraz cały świat jest przeciwko nam... wszystkie ludy pragną zagłady naszej... nie chcą już naszej sławy!

Potem przychodziła myśl, że się ma honor być Francuzem i że należy—zwyciężyć lub umrzeć.

VII.

Wśród takich rozmyślań dzień nadszedł. Nic się jeszcze nie ruszało i Zébédé rzekł do mnie:

— Jakieby to było szczęście, gdyby nieprzyjacielowi zabrakło odwagi uderzyć na nas!

Oficerowie rozmawiali ze sobą o zawieszeniu broni.

Nagle, około godziny dziewiątej, kurjerzy nasi pędem przylecieli oznajmiając, że nieprzyjaciel porusza się na całej linii i prawie jednocześnie działa zagrzmiały na prawo, wzdłuż Elstery. Byliśmy już pod bronią i szliśmy przez pole, od strony Parthy, z powrotem do Schoenfeldu.

Taki był początek bitwy.

Na wzgórzach nadrzecznych trzy dywizye, umieściwszy baterye pomiędzy sobą a kawaleryę po bokach, oczekiwały nieprzyjaciela; dalej, po przez wierzchołki bagnetów, widzieliśmy Prusaków, Ro-

syam i Szwedów, posuwających się ze wszystkich stron ciemnymi masami: nie było temu końca.

W dwadzieścia minut potem, byliśmy już na linii, między dwoma wzgórzami i mieliśmy przed sobą coś sześć tysięcy Prusaków, którzy przeprawiali się przez rzekę, krzycząc:

— „*Faterland! Faterland!*“

Tworzyło to wrzask straszny, przypominający krakanie owych stad kruków, które zgromadzały się, aby się udać do krajów północnych.

W tejże chwili rozpoczął się ogień karabinowy z jednego brzegu na drugi i działa też grzmieć poczęły. Parów, w którym płynie Partha, napełnił się dymem. Prusacy wpadli już na nas, a my za ledwie dojrzeć mogliśmy ich oczy wściekle, ich usta wykrzywione i wyraz dzikich zwierząt. Wówczas raz tylko zawołaliśmy: — Niech żyje cesarz! — i rzuciliśmy się na nich.

Rozpoczęła się straszna walka.

W oka mgnieniu tysiące bagnetów skrzyżowało się ze sobą. Popychano się, tłoczono, cofano, strzelano do siebie wprost w piersi, zabijano się uderzeniami kolby, szeregi pomieszały się ze sobą... Stąpano po tych, którzy upadli, działa grzmiały, a dym, który się słał po nad tą ciemną wodą, między wzgórzami, świst kul, trzask strzałów, czyniły dolinę podobną do pieca, gdzie ludzie, niby drewna, wpadali, by się stać pastwą płomieni.

Nas popychała rozpacz, wściekła żądza po-

mszczenia się przed śmiercią; Prusaków unosiła dumą, mówili sobie:

— Tym razem zwyciężymy Napoleona!

Prusacy to najbitniejsi w świecie ludzie; zwycięstwa, które odnieśli pod Gross-Beeren i pod Katzbach, napełniły ich szaleństwem jakimś. Ale zostało ich w rzece... tak, zostało! Cztery razy przechodzili rzekę i rzucali się na nas masą całą. Musieliśmy cofać się z powodu wielkiej ich liczby. A jakie wrzaski wydawali wówczas! Zdawało się, że chcą nas pożreć... Brzydka, szkaradna to rasa...

Oficerowie ich, z szablą do góry wzniesioną, maszerowali między ściśniętymi szeregami bagnetów, powtarzając nieustannie:

— *Forwerts! Forwerts!*

I żołnierze szli murem naprzód z wielką odwagą, temu zaprzeczyć nie można. Nasze działa zmiały ich, a oni wciąż się posuwali. Lecz na wierzchołku wzgórza my z nowym impetem rzucaliśmy się na nich i spychaliśmy ich aż do rzeki.

Bylibyśmy ich wszystkich wymordowali, gdyby nie jedna z ich baterij z przed Mockern, która brała nas z ukosa i nie pozwalała ścigać ich bardzo daleko.

Trwało to do godziny drugiej.

Połowa oficerów naszych nie była już w stanie walczyć; komendant Gemeau był ranny, pułkownik Lovain zabity, a cały brzeg rzeki zasłany stosami poległych i rannych, którzy usiłowali wy dostać się z tłoku; niektórzy z nich, wściekli, pod-

nosili się na kolana, by raz jeszcze pchnąć bagnetem lub wystrzelić.

Nigdy nic podobnego nie widziano.

Rzeką płynęły szeregi poległych, jedni twarzą do góry, drudzy plecami, innych nogi tylko widać było. Płynęli, jak kłody drzewa, a nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na to. Jak gdyby coś podobnego nie mogło spotkać każdego z nas lada chwila.

Wielka ta rzeź odbywała się wzdłuż całej Parthy, od Schoenfeld aż do Grossdorf.

Wreszcie Szwedzi i Prusacy skierowali się w górę rzeki, by nas zająć wyżej, a Rosyanie przyszli zastąpić Prusaków, którzy nie gniewali się o to wcale, że im kazano zwrócić się gdzieindziej.

Rosyanie uszykowali się w dwie kolumny, w doskonałym porządku zeszli w dolinę i dwa razy zaatakowali nas z wielką walecznością, nie wydając jednak owych zwierzęcych okrzyków, jak Prusacy. Kawalerya ich chciała zerwać stary most powyżej Schoenfeld. Kanonada zwiększała się coraz bardziej. W jakąkolwiek stronę człowiek się obrócił, widział tylko czarne szeregi wrogów; za ledwieśmy odparli jedną z kolumn, na jej miejsce zjawiała się inna, ze świeżymi siłami i wciąż trzeba było rozpoczynać na nowo.

Między drugą a trzecią dowiedziano się, że Szwedzi i kawalerya pruska przepawili się przez rzekę, powyżej Grossdorf, i że mieli nas zaskoczyć z drugiej strony; daleko więcej przypadało to im do smaku, aniżeli nacierać na nas z przodu.

Natychmiast marszałek Ney zmienił front, prawe skrzydło cofając w tył. Nasza dywizya zawsze się opierała o Schenfeld, ale wszystkie inne cofnęły się od Parthy, zajęły równinę i całe wojsko utworzyło już tylko jedną linię dokoła Lipska.

Około trzeciej godziny, Rosyanie za traktem Mockern przygotowali się do trzeciego ataku, nasi oficerowie nowe wydawali rozporządzenia do przyjęcia ich, gdy rodzaj dreszczu przeszedł z jednego końca armii w drugi, a w kilka minut wszyscy się dowiedzieli, że szesnaście tysięcy Sasów i kawalerya wюрtemberska, — zajmująca środek naszej linii, — przeszła właśnie na stronę nieprzyjaciela i że nawet, zanim jeszcze stanęli w pewnej odległości, tak byli podli, iż czterdzieści dział, które zabrali z sobą, zwrócili ku dawnym towarzyszom broni z dywizyi Duruttea...

Zdrada ta, zamiast przygnębić nas, powiększyła tylko wściekłość naszą tak, że gdyby nas słuchano, bylibyśmy przeszli rzekę, aby wszystkich wymordować.

Sasi powiadają, że bronili Ojczyzny swej. To fałsz! Mogli przecież opuścić nas na trakcie Duben; któż im przeszkadzał? Mogli zrobić tak, jak Bawarczyzy i przed bitwą się wypowiedzieć. Mogli też zachować się neutralnie. Mogli wreszcie odmówić usługi. Ale oni zdradzali nas dlatego, że los był przeciwko nam. Gdyby widzieli, że mamy wygrać, pozostaliby dobrymi przyjaciółmi naszymi, dla-

tego, żeby mieć udział w korzyściach wygranej, jak pod Jeną i Friedlandem.

Oto co każdy myślał i oto dlaczego Sasi będą po wiek wieków uważani za zdrajców. Nietylko opuścili przyjaciół swych w nieszczęściu, ale nawet mordowali ich, chcąc przypodobać się tamtym. Bóg jest sprawiedliwy: nowi sprzymierzeńcy taką powzięli pogardę dla nich, że po bitwie rozdzielili między siebie połowę ich kraju. Francuzi śmieli się tylko z wdzięczności Prusaków, Austryaków i Rosyan.

Od tej chwili aż do wieczora, nie była to już ludzka wojna, lecz był to bój zajadłej zemsty. Lioba miała przemódz nas, ale sprzymierzeńcy mieli drogo opłacić zwycięstwo swoje.

Na schyłku dnia, gdy dwa tysiące dział grzmiało razem, wytrzymałyśmy siódmy atak w Schoenfeld: z jednej strony Rosyanie, a z drugiej Prusacy parli nas do tej wielkiej wioski. Trzymaliśmy się w każdym domu, na każdej uliczce; mury padały od kul, dachy się waliły. Nie krzyczano już, jak na początku bitwy; ludzie byli bladzi i zimni ze wściekłości. Oficerowie podnosili karabiny i przytracali stare ładownice; odgryzali ładunki, jak prości żołnierze.

Po domach, broniono ogrodów i cmentarza, gdzie spałem dnia poprzedniego; teraz leżało tam więcej umarłych na ziemi, niż pod ziemią. Ci, którzy padali, nie skarżyli się; ci, którzy pozostawali,

gromadzili się za murem, za kupą gruzów, za grobem. Każda piędź ziemi kosztowała kogoś życie.

Noc już była, kiedy marszałek Ney przyprowadził, nie wiem skąd, posiłki: to, co pozostało z dywizji Ricarda i drugiej Souhama. Wszystkie resztki pułków naszych połączyły się z sobą i odparto Rosyan na drugą stronę starego mostu, który nie miał już poręczy, tak go skartaczowano. Na moście tym ustawiono sześć dział dwunastofuntowych i aż do godziny siódmej strzelano w tem miejscu.

Resztki tego batalionu, jak również kilku innych, podtrzymywały działa; pamiętam, że ogień z nich przelatywał pod mostem, niby błyskawice, przy świetle których widać było, jak konie i ludzie zabici padali pod ciemne arkady mostu. Zjawiska te trwały sekundę tylko każde, ale jakże straszne były!

O ósmej, kiedy masy kawaleryi posuwały się na lewe skrzydło nasze i widać było, jak krążyły koło dwóch wielkich czworoboków, które cofały się krok za krokiem, dano nam nareszcie rozkaz do odwrotu. W Schoenfeld pozostały tylko dwa czy trzy tysiące ludzi z sześciu armatami. Nie ścigani, wróciliśmy do Kohlgarten i poszliśmy biwakować koło Rednitz. Zébédé żył jeszcze; ze dwadzieścia minut szliśmy obok siebie nic nie mówiąc, słuchając kanonady, która pomimo nocy, nie ustawała od strony Elstery; nagle Zébédé odezwał się:

— Jakim sposobem zostaliśmy jeszcze przy ży-

ciu, Józefie, kiedy tyle tysięcy ludzi poległo obok nas? Teraz już nie możemy umrzeć.

Nie odpowiadałem nic.

— Jaka bitwa! — rzekł znowu. — Czy kiedykolwiek przedtem bił się kto tak, jak my dzisiaj? To niepodobna.

Miał słuszność, była to bitwa olbrzymów.

Od dziesiątej rano do ósmej wieczór, stawiliśmy czoło trzystu sześćdziesięciu tysiącom ludzi, nie ustępując ani kroku, chociaż było nas tylko sto trzydzieści tysięcy! Nie było jeszcze nic podobnego.

Niech mię Bóg broni, żebym miał źle mówić o Niemcach: walczyli oni za niepodległość Ojczyzny swojej; ale zdaje mi się, że nie mają słuszności, obchodząc co rok pamiątkę bitwy lipskiej: **nie** ma się czego chwalić, kiedy było trzech na jednego.

Zbliżając się do Rednitz, szliśmy po stosach poległych, co krok spotykaliśmy zdemontowane działa, przewrócone jaszczyki, drzewa potrzaskane kartaczami.

Tam to jedna dywizya młodej gwardyi i konni grenadyerzy, pod dowództwem Napoleona samego, zatrzymali Szwedów, którzy usiłowali zająć próżnię, utworzoną przez zdradę Sasów. Dwie czy trzy chałupy, dopalające się naprzeciwko wioski, oświecały ten widok. Grenadyerzy konni byli jeszcze w Rednitz, ale mnóstwo innych oddziałów rozpięchłych przesuwano się tam i napowrót po wielkiej

ulicy. Żywności nie rozdawano, każdy przeto sam dla siebie starał się o jedzenie i napój.

Kiedyśmy przechodzili przed wielkim domem pocztowym, ujrzeliśmy za murem dziedzińca dwie markietanki, które stojąc na wózkach swoich, rozlewały trunki. Byli tam strzelcy, kirasyerzy, ułani, huzary, piechota liniowa i gwardyjska, — wszyscy pomieszani razem, obdarci, z połamanemi kapelusami i kaszkietami, bez kitek, w odzieniu podziurawionem kulami. Wszyscy wydawali się okropnie zgłodniałymi.

Trzej dragoni stali na małym murze, przy garneczku, napełnionym palącą się smołą; mieli ręce skrzyżowane pod wielkimi swemi białemi płaszczami, a zbroczeni krwią, podobni byli do rzeźników.

Zébédé, nic nie mówiąc, trącił mnie łokciem i weszliśmy na dziedzińiec, gdy inni poszli dalej. Kwadrans minął, zanim zdołaliśmy dostać się do wózka. Podniosłem wówczas w górę sześćofrankówkę. Markietanka, klęcząc za beczułką swoją, podała mi wielką szklanę wódki i kawałek chleba białego, za co wzięła mój pieniądz. Napilem się i podałem szklanę Zébédému, a ten wypróżnił ją do reszty.

Z trudnością wydostaliśmy się z tego tłumu. Spoglądano na siebie ponuro, łokciami i plecami robiono sobie miejsce; tutaj w istocie można było powiedzieć, — patrząc na te surowe twarze, na te oczy zapadłe, na ten straszny wyraz twarzy ludzi,

którym śmierć tysiąc razy zaglądała w oczy dzisiaj i zaglądać będzie znowu jutro:

— Każdy dla siebie... Bóg dla wszystkich!

Idąc przez wieś, Zébédé rzekł do mnie:

— Masz chleb?

— Tak.

Przełamałem chleb i dałem mu połowę. Jedliśmy, przyspieszając kroku. Zdawało się słychać było jeszcze strzały.

W dwadzieścia minut dopędziliśmy ogon kolumny i poznaliśmy batalion adyutanta-majora Vidala, który szedł obok niego.

Weszliśmy do szeregów, nikt nie zauważył nieobecności naszej.

Im bardziej zbliżano się do miasta, tem więcej spotykano oddziałów, armat i bagaży, które śpieszyły do Lipska.

Okolo godziny dziesiątej, przeszliśmy przedmieście Rednitz. Jenerał brygady Fournier objął dowództwo nad nami i kazał nam zboczyć na lewo. O północy zatrzymaliśmy się pod starymi lipami, ogołoceni z liści; było to obszerne miejsce przechadzki wzdłuż Pleissy.

Ustawiono broń w kozły.

Długi szereg, ogni migotał wśród mgły aż do przedmieścia Ranstadt. W chwilach, kiedy płomień wznosił się, widać było grupy ułanów polskich, linie koni, dział i furgonów; gdzieś warty nieruchome wśród mgły, jak cienie.

Z miasta dochodził hałas wielki, który zdawał

się wciąż wzrastać i mieszał z głuchym hukiem konwojów naszych na moście Lindeneau.

Był to początek odwrotu.

Każdy z nas położył tornister swój pod drzewem i wyciągnął się na nim, podłożywszy ramię pod ucho.

W kwadrans potem wszyscy spali.

VIII

Nie wiem, co się działo do świtu, — bagaże, ranni i jeńcy defilowali zapewne wciąż przez most. Ale nadedniem straszny wystrzał obudził nas. Wszyscy, co do jednego, zerwali się z ziemi, bo myślano, że to atak nowy. Wkrótce jednak dwóch oficerów od huzarów nadjechało wołając, że to furgon z prochem przypadkowo wyleciał w powietrze w wielkiej alei Randstadt, nad brzegiem wody. Dym ciemno-czerwony kłębił się jeszcze, powoli się rozchodząc; ziemia i stare domy drżały.

Spokój wrócił.

Niektórzy pokładli się na nowo, chcąc zasnąć jeszcze. Lecz już dniało. Rzuciwszy okiem na szarawą rzekę, widać było wojsko nasze, ciągnące, jak okiem sięgnąć, po pięciu mostach Elstery i Pleissy. Mosty te szły jeden za drugim i można powiedzieć, że tworzyły jeden tylko.

Smutno się bardzo robiło patrząc na ten most,

po którym tyle tysięcy ludzi przejść miało. Musiało to zabrać dużo czasu i każdemu przychodziło na myśl, że lepiej byłoby rzucić kilka mostów w różnych miejscach na obu rzekach, bo nieprzyjacieli mógł znowu uderzyć na nas i uczynić odwrót jeszcze trudniejszym. Lecz cesarz zapomniał wydać rozkazów w tym względzie, a nie śmiano nic robić bez jego rozkazów; żaden z marszałków Francji nie ośmieliłby się powiedzieć, że kilka mostów więcej warte, niż jeden! Oto do czego doprowadziła starych tych wodzów straszna karność Napoleona: słuchali, jak maszyny i nie troszczyli się o nic więcej, bojąc się ściągnąć na siebie niełaskę pana!...

Jak tylko ujrzałem ten most bez końca, zaraz pomyślałem sobie:

— Żebyż przynajmniej pozwolili nam teraz ruszyć, bo mamy już, Bogu dzięki, dosyć bitwy i rzezi! Przeszedłszy na drugą stronę, zaraz znajdziemy się na dobrej drodze do Francji i może jeszcze ujrzą Katarzynę, ciotkę Grédel i ojca Gulden!

Myśląc o tem, czułem rozrzewnienie i zazdrośnem okiem patrzyłem na te tysiące artylerzystów konnych i żołnierzy pociagowych, którzy oddalali się tam, jak mrówki; na wielkie kosmate czapy starej gwardyi, nieruchomo stojące po drugiej stronie rzeki, na wzgórzu Lindenau, z bronią w ręku.

Zébédé, który snąc myślał to samo, rzekł do mnie:

— He! Józefie, żebyśmy byli na ich miejscu!

To też około godziny siódmej, kiedy nadeszły furgony z ładunkami i chlebem, pożywienie wydało mi się bardzo gorzkim. Wyraźnem już teraz było, że będziemy składali straż tylną i pomimo głodu, miałem ochotę rzucić chleb mój o ścianę.

W kilka minut potem, przeszły dwa szwadrony ułanów polskich, dążących w górę rzeki; za tymi ułanami ukazało się pięciu czy sześciu jenerałów, a wśród nich Poniatowski. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, dosyć wysoki, szczupły, ze smutnym wyrazem twarzy. Przejechał, nie patrząc w naszą stronę.

Jenerał Fournier odłączył się od sztabu swego, wołając na nas:

— Szeregami, na lewo!

Nigdy jeszcze nie doznałem równie przykrego uczucia, jak wówczas: oddałbym życie za szeląg; ale trzeba było odwrócić się plecami do mostu i ruszać.

Na końcu spacerowych alej, znaleźliśmy się przy starej bramie, zwanej Hinterthôr, na drodze do Cannevit; na prawo i lewo ciągną się tu stare szańce, a z tyłu wznoszą się domy.

Ustawiono nas w miejscach zasłoniętych przy owej bramie, którą sapery mocno zabarykadowali. Kapitan Vidal dowodził wówczas batalionem zmniejszonym do trzechset dwudziestu pięciu ludzi.

Kilka starych, spróchniałych palisad służyło nam za szańce, a na wszystkich drogach przed nami widzieliśmy przesuwanego się nieprzyjaciela. Tym razem były to już mundury białe i kaszkiety

plaskie na tyle głowy, ozdobione pewnym rodzajem wysokiej blachy na przodzie, na której rozpościerał się dwugłowy orzeł *kreutzerów*. Stary Pinto poznał ich natychmiast i zawołał:

— To *kaiserlicki*! Pobiliśmy ich więcej niż pięćdziesiąt razy od 1793 roku. Ale to wszystko jedno. Gdyby ojciec Maryi Ludwiki miał choć trochę serca, byliby oni teraz z nami.

Od kilku chwil już słyhać było kanonadę; po drugiej stronie Lipska, Blücher atakował przedmieście Hall. Wkrótce potem ogień rozciągnął się na prawo. Bernadotte atakował przedmieście Kohlgartenthor i prawie jednocześnie pierwsze granaty Austryaków padły na nasze stanowiska; szły one jeden za drugim; niektóre z nich, przeleciawszy po nad Hinterthor, pękały w domach i na ulicach przedmieścia.

O godzinie dziewiątej, Austryacy uszykowali się w kolumny do ataku na drodze Kanneritz. Ze wszystkich stron brali górę nad nami; pomimo to batalion utrzymał się aż do dziesiątej godziny prawie. Wtedy zostaliśmy zmuszeni cofnąć się za stare szańce. *Kaiserlicki* gonili za nami, przedzierając się przez wyłomy w murze, pod krzyżowym ogniem 29-go i 14-go liniowego pułku.

Biedacy ci nie byli tak wściekli, jak Prusacy; okazali jednak prawdziwe męstwo, bo o w pół do jedenastej wdarli się na szańce i chociaż strzelaliśmy do nich ze wszystkich okien dokoła, nie mogliśmy ich zmusić do odwrotu.

Pół roku temu podobne rzeczy budziłyby we mnie grozę, ale tyle już widziałem gorszych! Stałem się tak nieczułym, jak stary żołnierz i śmierć jednego lub stu ludzi wydawała mi się niczem.

Do tej chwili wszystko szło dobrze. Ale jak wyjść z domów? Nieprzyjaciel zajmował wszystkie ulice, pozostawało więc chyba wleźć na dachy. Innego wyjścia nie były. Jest to jeszcze jedno z przykrych wspomnień moich.

Nagle przyszło mi na myśl, że wezmą nas tam, jak lisów w norze. Zbliżyłem się do okna tylnego i ujrzałem, że wychodzi na ogród, z którego nie było innego wyjścia, jak od frontu. Wyobrażałem sobie, że Austriacy, wywdzięczając się nam za wszystko, cośmy im zrobili, wyniosą nas na bagnietach; było to dosyć naturalnem.

Myśląc tak, wszedłem do pokoju, gdzie było nas około dziesięciu i ujrzałem sierżanta Pinto, który z opuszczonemi rękami siedział błady koło ściany. Przed chwilą dostał kulę w brzuch, ale mówił jeszcze wśród strzałów:

— Brońcie się, rekruci, brońcie się!... Pokażcie *kaiserlickom*, żeście więcej od nich warci! Ach, rozbójnicy!

Na dole, koło bramy, słyhać było jak gdyby huk dział. Strzelaliśmy wciąż, ale już bez nadziei jakiegokolwiek skutku, kiedy na dworze powstał nagle wielki hałas i tętent koni. Ogień ustał i przędym ujrzeliśmy cztery szwadrony ułanów, pędzących, jak gromada lwów, wśród Austriaków. Wszyst-

ko ustępowało przed nimi. *Kaiserlicki* umykali co sił, ale wielkie sine lance, z czerwonym polyskiem, prędzej niż oni posuwały się i jak strzały wpadały do grzbietów.

Byli to Polacy, najstraszniejsi żołnierze, jakich w życiu mojem widziałem, a trzeba dodać—prawdziwi nasi przyjaciele i bracia. Oni nie zwinęli chorągiewki w chwili niebezpieczeństwa, ale oddali nam się do ostatniej kropli krwi swojej... A my, cóżeśmy zrobili dla ich nieszczęśliwego kraju?... Kiedy pomyślę o niewdzięczności naszej, serce mi się kraje!

Słowem, tym razem jeszcze Polacy ocalili nas. Widząc ich dzielność i waleczność, powychodziliśmy zewsząd, popędziliśmy na Austriaków z bagnietem i wyparliśmy ich do fos.

Zwycięstwo przy nas zostało, ale wielki był czas do odwrotu, nieprzyjaciel bowiem napełniał już Lipsk: bramy Hall i Grimma zostały zdobyte, a brama Petersthor, wydana przez naszych przyjaciół Badeńczyków i drugich przyjaciół naszych — Sasów. Żołnierze, studenci, mieszczanie, strzelali do nas z okien!

Tyle tylko mieliśmy czasu, żeśmy się uszykowali w niejakim porządku i wyruszyliśmy wielką aleją, idącą wzdłuż Pleissy. Tam ułani polscy oczekiwali na nas; maszerowaliśmy za nimi i kiedy Austriacy naciskali na nas tuż-tuż, oni raz jeszcze szarżowali na nich i odparli ich. Jacy to szlachetni ludzie i jacy wspaniali kawalerzyści ci Polacy! Wzbu-

dzili oni podziw i uwielbienie wszystkich, co widzieli ich idących do ataku, szczególnie w takiej chwili.

Dywizya, z ośmiu tysięcy ludzi zmniejszona do tysiąca pięciuset, cofała się zatem przed więcej niż pięćdziesięciu tysiącami nieprzyjaciela, a pomimo to, jeszcze się odwracała i strzelała do *kaiserlicków*.

Zbliżamy się do mostu, a z jaką radością — nie potrzebuję mówić. Lecz niełatwo było dostać się do niego, bo na całej szerokości alei, tylu ludzi konnych i pieszych się tłoczyło, śpiesząc ze wszystkich ulic, że cały ten tłum tworzył niejako jedną zbitą masę. Wszystkie głowy stykały się i posuwały powoli, wydając przytem jęki i krzyki przytłumione, które pomimo strzelania, słyhać było o ćwierć mili. Biada tym, którzy się znaleźli na brzegu mostu: spadali, a nikt nie zwracał uwagi na to! Środkiem tak popychano ludzi a nawet konie, że niesiono ich niemal; nie potrzebowali ruszać się sami...

Ale jak się tam dostać? Nieprzyjaciel zbliżał się wciąż. Ustawiono wprawdzie kilka dział po obu stronach, dla zmiatania alei i głównej ulicy naprzeciw. Były też jeszcze liniowe oddziały dla odparcia pierwszych ataków. Lecz Prusacy, Rosyanie i Austriacy posiadali także działa do zmiatania mostu i tym, którzy mieli pozostać na ostatku, musiały się dostać wszystkie granaty, wszystkie kule i kartacze. Niewiele trzeba było mądrości, żeby to zrozumieć. Rzecz przedstawiała się jasno i dlatego wszyscy chcieli przejść jak najprędzej.

O dwieście kroków od tego mostu przyszło mi na myśl zbiedz i skryć się w tłumie, któryby mnie zaniósł na drugą stronę; ale kapitan Vidal, porucznik Bretonville i inni starzy grozili:

— Pierwszego, który wyjdzie z szeregów, kula w łeb nie minie!

Przekleństwo! Być tak blisko ocalenia i myśleć:

— Muszę zostać!

Działo się to około południa. Gdybym żył sto lat, nie zapomniabym ani jednego szczegółu z tej chwili. Z lewej i z prawej strony strzały zbliżały się, parę kul gwiznęło w powietrzu, a od strony przedmieścia Hall widać było Prusaków obok żołnierzy naszych.

Przy moście straszne rozlegały się krzyki: kawalerzyści, torując sobie drogę, płazowali piechotnych, którzy odpowiadali im na to bagnetami.

Popłoch panował wśród tłumu straszny. Co chwila ktoś spadał z mostu, a chcąc się utrzymać, ciągnął za sobą pięciu lub sześciu innych i spadali razem gwałtownie, wywołując złowrogi plusk.

Ten zamęt, chaos, krzyki, wycia, jęki, strzały, plusk spadających do wody zwiększał się z każdą sekundą, a widok oszalałych tłumów stał się tak okropnym, że nic równego niepodobna wyobrazić sobie...

Nagle rozległ się niby huk piorunu i pierwsza arkada mostu runęła wraz z tymi, którzy byli na wierzchu: setki nieszczęśliwych znikają w wodzie,

odpadające kamienie kaleczą masy innych, zabijają, miażdżą...

Artylerzysta jakiś wysadził most!

Na ten widok krzyk rozpaczy rozległ się aż po alejach:

— Jesteśmy zgubieni!... zdradzeni!...

To tylko słyszeć było....

— Krzyk brzmiał potężnie, okropnie. Jedni, przejęci wściekłością, zwracają się ku nieprzyjacielowi, jak osaczone zwierzęta drapieżne, co nic już nie widzą i mają tylko jedną myśl zemsty; inni łamią broń, oskarżając niebo i ziemię o niedolę swoją. Oficerowie konni, generałowie, rzucają się do rzeki, chcąc przebyć ją wplaw. Wielu żołnierzy idzie za ich przykładem, rzuca się także w wodę, nie tracąc czasu na zdejmowanie tornistrów. Myśl, że można było ująć i że w ostatniej chwili trzeba dać się zamordować, doprowadzała do szaleństwa...

Dnia poprzedniego widziałem wiele trupów, niesionych wodami Parthy. Ale teraz było to coś jeszcze straszniejszego. Wszyscy ci biedacy szamotali się w wodzie z rozdzierającym krzykiem, czepiali się jeden drugiego; rzeka była ich pełna: widać było tylko głowy i ręce, poruszające się nad powierzchnią.

W tej chwili kapitan Vidal, człowiek spokojny i powściągliwy, który postawą swą i wzrokiem zawsze umiał zatrzymać nas na drodze obowiązku, — teraz i on, zdawało się, stracił wszelką

nadzieję; z dziwnym uśmiechem wsunął szpadę swą do pochwy i rzekł:

— No... skończyło się!...

A kiedy położyłem mu rękę na ramieniu, spojrział na mnie bardzo łagodnie i spytał:

— Czego chcesz, moje dziecko?

— Kapitanie — odpowiedziałem, bo myśl ta teraz dopiero mi przyszła — przepędziłem cztery miesiące w szpitalu lipskim, kąpałem się w Elsterze i znam miejsce, gdzie można przejść w bród.

— Gdzież to?

— O dziesięć minut powyżej mostu.

Natychmiast dobył szpadę, wołając grzmiącym głosem:

— Dzieci, za mną! A ty, idź przodem.

Cały batalion, liczący teraz już tylko dwieście ludzi, ruszył z miejsca. Ze stu innych żołnierzy widząc, że odchodzimy krokiem pewnym, przyłączyło się do nas, nie wiedząc, gdzie idziemy.

Austriacy byli już na tarasie alei; poniżej szeregi ogrodów, rozdzielonych płotami, ciągnęły się aż ku Elsterze. Poznałem tę drogę, którą przebywaliśmy z Zimmerem w lipcu, kiedy wszystko to było w rozkwicie. Strzały nieprzyjaciół goniły za nami, ale nie odpowiadaliśmy na nie.

Pierwszy wszedłem do rzeki, za mną kapitan Vidal, potem inni po dwóch z kolei. Woda sięgała nam aż do pleców, bo rzeka wezbrała wskutek deszczów jesiennych; pomimo to, przeszliśmy szczęśliwie i nikt nie utonął.

Wszyscy prawie mieliśmy jeszcze karabiny, kiedyśmy stanęli na drugim brzegu i ruszyliśmy wprost przez pola. Dalej trafiliśmy na mały, drewniany most, prowadzący do Schleissin i stamtąd zwróciliśmy się ku Lindenau.

Wszyscy milczeli. Od czasu do czasu patrzyliśmy w dal, na drugą stronę Elstery, gdzie bitwa toczyła się jeszcze na ulicach Lipska. Długo dochodził nas wściekły wrzask i głuchy huk kanonady; dopiero koło drugiej godziny, kiedyśmy ujrzeli nieukończoną linię oddziałów, bagaży i dział, które nieprzejrzaniem pasmem ciągnęły drogą do Erfurtu, dopiero wówczas daleki ten hałas pomieszał się dla nas z turkotem wozów.

IX.

Dotychczas opowiadałem wielkie wypadki wojny — bitwy, przynoszące chlubę Francyi, pomimo błędów naszych i nieszczęść.

Kto walczył sam przeciwko wszystkim narodom Europy, — zawsze jeden przeciwko dwom, a nawet trzem naraz, — i uległ nareszcie nie wskutek odwagi tamtych, lub ich geniuszu, ale przez zdradę i przeważającą liczbę, ten niesłusznieby robił, gdyby się wstydził takiej przegranej, a zwycięzcy jego jeszcze więcej mieliby słuszności, gdyby się nie chępnili. Nie liczba stanowi wielkość narodu lub wojska, ale cnota jego. Myślę tak w szczerości ducha i sądzę, że wszyscy ludzie serca, wszyscy ludzie zdrowego rozsądku, we wszystkich krajach świata, myślą tak, jak ja.

Teraz trzeba, żebym opowiedział o przykrościach odwrotu i to właśnie wydaje mi się najtrudniejszym.

Powiadają, że ufność daje siłę; jest to prawda, szczególnie w stosunku do Francuzów. Dopóki idą naprzód, dopóki spodziewają się zwycięstwa, — dopóty zjednoczeni są z sobą, jak palce u jednej ręki; wola dowódców jest prawem dla wszystkich; czują, że przy karności tylko może im się powodzić. Ale gdy zmuszeni są do cofania się, wówczas zaczynają wierzyć już tylko w samych siebie i nie znają rozkazu. I ludzie ci dumni, — ludzie, którzy wesoło szli do boju z nieprzyjacielem, rozchodzą się, jedni na prawo, drudzy na lewo, czasem sami, czasem gromadami.

Wówczas ci, którzy niedawno drżeli przed nimi, ośmielają się; występują najprzód z niejaką obawą, potem, widząc, że nic im się nie staje, stawią się zuchwale i w trzech lub czterech napadają na wlokących się, jak kruki, co się rzucają na powalonego konia, na którego nie śmiałyby patrzeć o pół mili, kiedy ten poruszał się jeszcze.

Patrzyłem na to...

Widziałem wynędzniałych kozaków, — byli to prawdziwi żebracy, w łachmanach, w wytartej czapce, nasuniętej na uszy, siedzący na wychudłych szkapach bez siodła, z nogą w sznurze, zastępującym strzemię, ze starym, zardzewiałym pistoletem, jako bronią palną i z żerdzią, na której wbity był gwóźdź, jako lanca, — widziałem tych ludzi, co to nigdy się nie golili i pokryci byli robactwem, a podobni do starych, poźółkłych, strupieszalnych Żydów, jak zatrzymywali po dziesięciu, piętnastu, dwudziestu żołnierzy i prowadzili ich, jak baranów...

Co do mnie, miałem gorączkę od wyjścia z Lipska; zwiększała się ona co dnia, trząłem się rano i wieczór. Tak osłabłem, że zaledwie mogłem wstać rano, by ruszyć w drogę. Zébédé patrzył na mnie smutnie i mówił mi czasem:

— Odwagi, Józefie, odwagi! Wrócimy przecież do kraju.

Słowa te ożywiały mnie; czułem, że rumieńce występowały mi na twarz.

— Tak, tak, wrócimy do kraju — powtarzałem — muszę zobaczyć jeszcze kraj.

I płakałem.

Zébédé niósł mój tornister; kiedy byłem bardzo zmęczony, mówił mi:

— Oprzej się na mojem ramieniu... Codziennie zbliżamy się, Józefie... Jakie piętnaście stacyj, cóż to znaczy?

Dodawał mi odwagi.

Lecz nie miałem już siły nieść karabina, wydawał mi się tak ciężkim, jak gdyby był z ołowiu. Nie mogłem już jeść i kolana mi się trzęsły. Mimo to, nie rozpacziałem jeszcze i mówiłem sobie:

— To nic... gorączka przejdzie, gdy ujrzysz dzwonicę Phalsburga. Katarzyna będzie cię pielęgnowała... Wszystko pójdzie dobrze... pożenicie się.

Widziałem, jak inni zostawali na drodze, ale nie uważałem siebie wcale za tak chorego, jak oni.

Wciąż jeszcze byłem dobrej myśli.

O trzy mile od Fuldy, na drodze do Salmün-
Bitwa Narodów. T. II.

ster, podczas odpoczynku, dowiedzieliśmy się, że pięćdziesiąt tysięcy Bawarczyków zamierza przeskodzić odwrotowi naszemu i oczekuje na nas w wielkich lasach, które mieliśmy przechodzić. Ta wiadomość dobiła mnie nareszcie. Nie mogłem już teraz ani iść dalej, ani brać na cel, ani bronić się bagnietem; wszystkie trudy, jakie znosiłem i przezwyciężałem, stały się daremnymi. Usiłowałem jednak wstać jeszcze, kiedy kazano ruszyć z miejsca.

— No, Józefie — mówił Zébédé — odwagi!... Ale nie mogłem wstać.

— Nie mogę! — wyszeptalem z płaczem.

— Spróbuj tylko, Józefie, zdobądź się na energię! — dodawał mi ducha Zébédé.

— Nie mogę... mój Boże... nie mogę!

Uczepiłem się ramienia jego...

Łzy płynęły mu po wielkim nosie... Chciał mnie nieść, ale i on także był bardzo słaby.

Zatrzymałem go wówczas wołając:

— Zébédé, nie opuszczaj mnie!

Kapitan Vidal zbliżył się i ze smutkiem popatrzył na mnie.

— No, mój chłopcze — rzekł — wozy ambulansowe będą szły tędy za pół godziny... zabiorą cię.

Wiedziałem dobrze, co to miało znaczyć. Przyciągnąłem do siebie Zébédégo i ściskając go, rzekłem mu na ucho:

— Słuchaj, ucałujesz Katarzynę za mnie... przyrzekasz mi to?... Powiesz jej, że umarłem całując ją i że ty jej przynosisz ten pocałunek pożegnany!

— Dobrze... — rzekł łkając — przyrzekam... powiem jej wszystko!... O mój biedny Józefie!

Położył mnie na ziemi i odszedł, nie oglądając się.

Kolumna oddalała się... Długo patrzyłem za nią, jak się patrzy na ostatnią nadzieję, która znika... Żołnierze, wlokący się z tyłu za batalionem, znikli także.

Wówczas zamknąłem oczy i dopiero w godzinę, a nawet może później, obudził mnie huk dział i ujrzałem dywizję gwardyi, która przechodziła drogę krokiem przyspieszonym, z furgonami i artylerją.

Spostrzegłszy na furgonach chorych, zawołałem:

— Zabierzcie mnie!.. Zabierzcie mnie!..

Ale nikt nie zważał na moje wołanie... Wojsko szło ciągle, huk dział wzmagał się. Więcej niż dziesięć tysięcy ludzi przeszło obok mnie, kawaleria i piechota.

Nie miałem już siły wołać.

Nakoniec i ogon kolumny przeciągnął. Patrzyłem na tornistry i kaszkiety, oddalające się ku pochyłości, a potem niknące...

Miałem już położyć się, aby zamknąć oczy na

zawsze, kiedy usłyszałem znów wielki hałas na drodze.

Było to pięć czy sześć dział, ciągnionych rosłami końmi, — kanonierzy na prawo i na lewo, z szablą w ręku, z tyłu jaszczyki. Niewięcej pokładałem nadziei w tych, jak w tamtych, co przeszli przed chwilą.

Nagle obok jednego z tych dział ujrzałem żołnierza wysokiego, chudego, rudego, z orderem na piersiach i poznałem w nim Zimmera, mego starego kolegę z Lipska. Przejeżdżał nie widząc mnie, ale ja z całych sił zawołałem:

— Krystykanie!... Krystykanie!...

Pomimo turkotu dział, usłyszał, odwrócił się, a spostrzegłszy mnie pod drzewem, szeroko otworzył oczy.

— Krystykanie — zawołałem — miej litość nade mną!

Zbliżył się, popatrzył na mnie i zbladł:

— To ty, mój dobry Józefie! — krzyknął, zeskakując z konia.

Wziął mnie na rękę, jak dziecię, wołając na ludzi, którzy jechali z ostatnim furgonem:

— Stój!... Zatrzymajcie się!

I ucałował mnie, ułożył w tym furgonie, opierając głowę moją na worku. Widziałem także, jak okrył mi nogi grubym płaszczem kawaleryjskim, mówiąc:

— Marsz... w drogę... Gorąco tam!

Oto wszystko, co pamiętam, bo zaraz potem straciłem przytomność.

Zdaje mi się, że jeszcze słyszał jak gdyby burzę, krzyki, komendę, a nawet, że widział wśród nocy defilujące po niebie szczyty potężnych jodeł; ale wszystko to jest snem dla mnie. To tylko pewna, że po za Salmünster, w lasach Hanau, stoczono dnia tego wielką bitwę z Bawarami i że wojsko nasze po trupach ich przeszło.

X

Dnia 15 stycznia 1814 roku, w dwa i pół miesiące po bitwie pod Hanau, obudziłem się w wygodnym łóżku, w małym ciepłym pokoiku. Patrząc na belki u sufitu, potem na małe okienka, których szyby mróz porysował w kwiaty białe, mówiłem sobie:

— To zima!

Jednocześnie usłyszałem jak gdyby huk dział i trzask ognia na kominie.

Po chwili, odwróciwszy się, ujrzałem młodą, bladą kobietę, siedzącą przy kominie, z rękami skrzyżowanymi na kolanach. Poznałem w niej Katarzynę. Poznałem także pokój, gdzie spędziłem tyle przyjemnych niedziel, zanim poszedłem na wojnę. Tylko huk działa, odzywający się od czasu do czasu, przerażał mnie myślą, czy to nie sen tylko.

Długo patrzyłem na Katarzynę, która wydawała mi się bardzo piękną i myślałem:

— Gdzież jest ciotka Grédel? Jakim sposobem wróciłem do kraju? Czyśmy poślubieni z Katarzyną? Mój Boże! gdybyż to tylko nie był sen!

Nakoniec, zebrawszy się na odwagę, zawołałem z cicha:

— Katarzyno!

Wówczas ona, drżąc cała, zbliżyła się i długo całowałem ją.

Płakaliśmy oboje.

Nagle serce mi się ścisnęło na huk działa.

— Co ja słyszę, Katarzyno? — spytałem.

— To armata Phalsburga — odpowiedziała, ściskając mnie mocniej.

— Armata?

— Tak, miasto w oblężeniu.

— Phalsburg?... Nieprzyjaciele są w kraju?!...

Nie mogłem rzec ani słowa więcej...

Tyle zatem cierpień, tyle łez, dwa miliony ludzi poległych na polach bitwy, wszystko to doprowadziło do tego tylko, że nieprzyjaciel opanował Ojczyznę naszą!

Przez całą godzinę, pomimo radości, jaką czułem, trzymając w objęciu mojem tę, którą kochałem, okropna ta myśl nie opuściła mnie ani na chwilę i dzisiaj jeszcze, chociaż jestem już stary i siwy, czuję gorycz na to wspomnienie...

Tak, widzieliśmy to, my starzy i dobrze, żeby młodzi wiedzieli o tem. Widzieliśmy Niemca, Rosyanina, Szweda, Hiszpana, Anglika panami Francyi;

trzymali oni garnizony po naszych miastach, zabierali z fortec, co im się podobało, znieważali żołnierzy naszych, znieważali naszą chorągiew i dzielili między sobą nietylko zdobycze nasze od 1808 roku, ale nadto własność rzeczypospolitej...

Droga to była zapłata za dziesięć lat chwały!

Ale nie mówmy już o tem, historia to osądzi.

Powie ona, że po bitwach pod Lutzen i Bautzen, nieprzyjaciele zgadzali się pozostawić nam Belgię, część Holandyi, cały lewy brzeg Renu aż do Bazylei, z Sabaudyą i Królestwem Włoskiem i że cesarz nie zgodził się na te warunki, — które jednak bardzo były piękne, — bo zadowolenie własnej dumy stawiał wyżej, aniżeli chwałę Francyi!

Wracając do mego opowiadania, nadmienię, że we dwa tygodnie po bitwie pod Hanau, tysiące wozów z rannymi i chorymi wyruszyło drogą ze Strassburga do Nancy. Szły one jednym ciągiem z głębi Alzacyi do Lotaryngii.

Ciotka Grédel i Katarzyna, stojąc we drzwiach, patrzyły na ten ponury orszak; nie potrzebuję mówić, jakie były ich myśli. Więcej niż tysiąc pięćset wozów przeszło, lecz na żadnym z nich mnie nie było. Tysiące ojców i matek zbiegły się z obszaru trzydziestu mil i patrzyły tak wzdłuż drogi...

Iluż z nich wróciło, nie odnalazszy dziecięcia swego!

Trzeciego dnia, Katarzyna poznała mnie na jednym z owych wózków, wyplatanych w okolicach

Moguncyi, pomiędzy kilkoma równie nieszczęśliwymi, jak ja, z zapadniętymi policzkami, ze skórą przyschniętą do kości i umierających z głodu.

— To on... to Józef! — wołała z daleka.

Ale nikt nie chciał temu wierzyć.

Ciotka Gredel długo wpatrywała się we mnie, zanim rzekła:

— Tak, to on!... Niech go stąd wyjmą... To nasz Józef.

Kazała mnie zanieść do swego domu i czuwała nade mną dzień i noc. Żądałem tylko wody, i nieustannie wołałem:

— Wody! wody!

Nikt na wsi nie przypuszczał, żebym wyszedł z tego; a jednak powietrze rodzinne, którem miałem szczęście oddychać i widok ukochanych, uratował mnie.

W pół roku potem, 8 lipca, pobraliśmy się z Katarzyną. Pan Gulden, który kochał nas, jak dzieci własne, przyjął mnie do spółki w handlu. Żyliśmy wszyscy razem w jednym gnieździe; byliśmy najszczęśliwsi w świecie.

Wojny skończyły się, sprzymierzeńcy wracali do siebie, cesarz Napoleon odjechał na wyspę Elbę, a król Ludwik XVIII zapewnił nam słuszne swobody.

I znów wróciły dobre czasy miłości, pracy i pokoju. Można było wierzyć w przyszłość, można było ufać, że przy oszczędności i skrzętności, każdy zdoła zapewnić sobie stanowisko, zjednać szacunek

uczciwych ludzi i dobrze wychować swoją rodzinę, nie obawiając się, iż konskrypcya zabierze cię w siedm lub ośm lat, po wyciągnięciu szczególnego losu.

Pan Gulden, który niebardzo był rad temu, że dawni królowie i dawna szlachta wracała, sądził jednak, iż ludzie ci nadto wiele wycierpieli w obcych krajach, żeby nie mieli zrozumieć nareszcie, iż nie oni sami tylko są na świecie i że należy szanować prawa nasze; myślał także, iż Napoleon będzie miał na tyle zdrowego rozsądku, że zachowa się spokojnie.... Ale omylił się: — Burboni wrócili ze starymi swymi zasadami, a cesarz czekał tylko chwili stosownej do odwetu.

Wszystko to spowodowało na nas nowe utrapienia i byłbym je wam opowiedział z przyjemnością, gdybym nie uważał, że opowiadanie to jest dostatecznie długie jak na raz. Poprzestaniemy więc na tem do czasu. Jeżeli rozsądni ludzie powiedzą mi, że dobrze zrobił, opisując kampanię 1813 roku, że może to oświecić młodzież, co do próżności sławy wojskowej i wskazać jej, iż prawdziwe szczęście znaleźć można tylko w pokoju, wolności i pracy, wówczas wrócę do tych wypadków i opowiem wam Waterloo!



KONIEC.

99882/1-2

93531 klocele

ROK XXXVII ISTNIENIA.

NAJTAŃSZA I NAJOBFITSZA ILUSTRACYA POLSKA

„BIESIADA LITERACKA“

DAJE ZUPEŁNIE BEZPŁATNIE

PREMIUM NADZWYCZAJNE:

≡ 12 dużych tomów ≡

wyborowych powieści i romansów

NAJZNAKOMITSZYCH AUTORÓW POLSKICH I OBCYCH

REDAKTOR I WYDAWCA

Michał Synoradzki.

„Biesiada Literacka“ obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej z powieścią na czele, historię, pamiętniki, podróże, wiedzę gruntowną w formie popularnej, wychowanie, politykę, chwilę bieżącą wszechświatową—słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej uwzględnia dzieje ojczyste i pamiętki narodowe.**

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		na prowincyi:	
Rocznie . . .	rb. 6	Rocznie	rb. 8.
Półrocznie . . .	3	Półrocznie	4.
Kwartalnie . . .	1 kop. 50.	Kwartalnie	2.
Zagranicą rocznie rb. 10.			

Wytworna oprawa powieści, z wyciskami złożonemi na tle barwnem: 3 tomów kop. 50; 6 tomów rs. 1; 12 tomów rs. 2. Na żądanie administracya wysyła numer okazowy bezpłatnie. Adres redakcyi i administracyi: Warszawa, plac Warecki 4.

№ telefonu 78-26.

Wspaniały, wielkich rozmiarów,
kolorowany, artystycznej wartości

==== portret ====

JÓZEFA
ks. PONIATOWSKIEGO

najwierniejsza podobizna bohatera narodowego.

dzieło zaszczytnie znanego artysty-malarza

Stanisława Bagieńskiego

jest do nabycia w administracyi

„Biesiady Literackiej”

Warszawa, plac Warecki Nr. 4.

Cena egzemplarza rb. 1, za opakowanie
i przesyłkę dolicza się kop. 20.

DO NABYCIA

w administracyi „BIESIADY LITERACKIEJ”

(plac Warecki 4) i we wszystkich księgarniach
*najcelniejsze dzieła znakomitych powieścio-
pisarzy polskich i obcych:*

B. Bolesławita „TULACZE.” Powieść historyczna.
Tomów 6. *Wydanie zupełne.* Cena rs. 3, z przesyłką
pocztową rs. 3 kop. 70; w ozdobnej oprawie rs. 4,
z przesyłką pocztową rs. 4. kop. 90.

Treść: Konfederacya Barska. — Kościuszko i Pułaski
w Ameryce. — Rewolucya Kościuszkowska. — Maciejowice. —
Legiony. — San Domingo. — Powstanie 1830—31 r. — Emigracya.

B. Bolesławita „PRZED BURZĄ.” Powieść na tle
wypadków 1830 r. Cena kop. 90; z przesyłką rs. 1
kop. 20.

B. Bolesławita „NA WSCHODZIE.” Powieść
obrazująca stosunki 1863 r. Cena kop. 85; z przesyłką
rs. 1 kop. 5.

B. Bolesławita „HYBRYDY.” Powieść z szóstego
dziesiątka lat ubiegłego wieku. Cena rs. 1; z przesyłką
pocztową rs. 1 kop. 20.

B. Bolesławita: „BEZIMIENNA.” Powieść na tle
powstania kościuszkowskiego. 2 tomy w jednym. Wyda-

nie zupełne. Około 600 stronice. Cena rb. 1 kop. 50; z przesyłką pocztową rb. 1 kop. 80.

Piotr Jaks Bykowski „CHORĄGWIE KMITÓW.” Powieść historyczna z XVII w. Cena rs. 1; z przesyłką rs. 1 kop. 20.

Kajetan Kraszewski „CHELMIANIE.” Powieść historyczna. Cena kop. 80; z przesyłką rs. 1.

Piotr Jaks Bykowski „SKARBY PRABABKI.” Powieść z pierwszych dziesiątków lat ubiegłego wieku. Cena rs. 1 kop. 50. z przesyłką rs. 1 kop. 80.

Michał Czajkowski „OWRUCZANIN.” Powieść historyczna. Cena dużego tomu, 480 str., rs. 1 kop. 50; z przesyłką rs. 1 kop. 80.

Michał Czajkowski „STEFAN CZARNIECKI.” Powieść historyczna. Tomów 4. Cena rs. 2; z przesyłką rs. 2 kop. 50. W ozdobnej oprawie rs. 2 kop. 60; z przesyłką rs. 3 kop. 20.

A. Dumas „NERON.” Romans historyczny. Cena kop. 80. przesyłką rs. 1; w ozdobnej oprawie rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 20.

Karol Dickens „OLIWER TWIST.” Dziwne przygody sieroty. Romans obyczajowy. Cztery tomy. Cena rs. 2 kop. 20; z przesyłką rs. 2 kop. 80. W ozdobnej oprawie rs. 3; z przesyłką rs. 3 kop. 75.

Wiktor Hugo „HAN Z ISLANDYI.” Romans historyczny. Trzy tomy. Cena rs. 1 kop. 80; z przesyłką rs. 2 kop. 30. W ozdobnej oprawie rs. 2 kop. 20; z przesyłką rs. 2 kop. 80.

Zygmunt Kaczkowski „WASI OJCOWIE.” Powieść na tle wypadków 1830 — 31 r. Cena rs. 1 kop. 50; z przesyłką rs. 1 kop. 80.

Jan Lam „WIELKI ŚWIAT CAPOWIC.” Powieść historyczna. Cena kop. 80; z przesyłką rs. 1. W ozdobnej oprawie rs. 1; z przesyłką rs. 1 kop. 25.

Walery Łoziński „CZARNY MATWIJ.” Powieść z przed lat sześćdziesięciu. Wydanie zupełne. Cena rs. 1 kop. 20; z przesyłką rs. 1 kop. 45.

Walery Przyborowski „OBŁĘŻENIE WARSZAWY.” Czasy kościuszkowskie. Cena kop. 50; z przesyłką kop. 70.

Walery Przyborowski „ARYANIE.” Powieść historyczna z XVI w. Cena rs. 1 kop. 50; z przesyłką rs. 1 kop. 80.

Fr. Rawita „CHARCZYZY.” Powieść na tle rzezi humanicznej. Cena rs. 1 kop. 20; z przesyłką rs. 1 kop. 50.

M. Steinfurth „ANDRZEJ CHÉNIER.” Romans historyczny z czasów Wielkiej Rewolucyi francuskiej. Cena kop. 80; z przesyłką rs. 1.

Michał Synoradzki „FARMAZON.” Powieść z XVIII w. Stosunki masonów polskich. Cena rs. 1 kop. 20; z przesyłką rs. 1 kop. 45.

Michał Sobieski „SZACHOWNICA KOŚCIUSZKI.” Powieść historyczna. Cena kop. 60; z przesyłką kop. 80.

H. G. Wells „CZŁOWIEK NIEWIDZIALNY.” Powieść fantastyczno - naukowa. Cena kop. 80; z przesyłką rs. 1. W ozdobnej oprawie rs. 1; z przesyłką rb. 1 kop. 20.

A. Wilczyński (autor „Kłopotów starego komendanta“) „OPIEKUNOWIE WDOVCA.” Powieść humorystyczna. Cena kop. 60; z przesyłką kop. 75. W ozdobnej oprawie kop. 80, z przesyłką kop. 95.